

# Józef Ignacy Kraszewski

## Królewscy synowie t.4



calibre 0.9.27

**JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI**

**KRÓLEWSCY SYNOWIE**

**POWIEŚĆ Z CZASÓW WŁADYSŁAWA HERMANA**

**I KRZYWOUSTEGO**

**TOM IV**

Już przepływali Bolesławowi Persantę, gdy miasto się budzić zaczęło. Dwa pułki zostawiwszy w odwodzie za sobą, z resztą Bolko się rzucił na ludne, szerokie przedmieścia. Mieszkańcy, których ta napaść niespodziana schwyciła na poły rozespanych, ani wiedzieli zrazu, co zagrażało, ani się bronić mogli.

Niewysłowiona trwoga opanowała ludność. Bezbronnie, otworem stało wszystko, domostwa malowane, izby i szopy kupi różnej i sprzętu pełne, ludzie w gźlach, pół

nadzy, zrywający się ze snu, targowice bogate, jakie tylko nad morzem widzieć można, żelazo, kruszec, skóry stosami i kupami.

Skarbimierz z małym oddziałem, minąwszy przedmieścia, wprost puścił się na najbliższą bramę grodu, Żelisław godził na drugą, aby się dostać do wnętrza. A tu już mnogi lud, wrzawą przerażony, z domostwa się wysypując, zalegał ulice i rynki. Zaledwie Skarbimierz wpadł do środka miasta, gdy grad kamieni, drzewców, sprzętów, naczyń na żołnierzy się posypał. Tłum obiegił go, cisnął się pod nogi koniom, za uzdy chwycił, pałkami bił jeźdźców. Padali jedni pod nogi koni stratowani, bieżeli drudzy, krzyk rozpaczny, jakby jeden głos, jeden ryk potwory dzikiej całym wstrząsnął grodem.

Siekąc na wszystkie strony, krwawiąc i płatając, bo oszczepów w ciasnocie użyć nie było można, i spuściwszy je, mieczami tylko rąbano, posunęli się Skarbimierzowi w głąb, szli, dopóki lud zbity w jedno ogromne ciało nie nacisnął

ich, nie począł gnieść i przeć tak, że po trupach nazad ku bramom cofnąć się musieli.

Za Skarbimierzem mało poszło w tą otchłań, nęciły bogactwa na podzamczu, którymi żołnierz się obładowywał. Chwymano po drodze i wiązano jeńców, chłopców i dziewczęta, wynoszono wory, rozbijano skrzynie. Jeden łupieżca dał

przykład, drudzy poszli za nim. Nie było sposobu znacznej części wojska wstrzymać od grabieży. Bolesław, postrzegłszy Skarbimierza we wrotach, partego przez tłumy, posyłał mu posiłki, gnał ostatek swych ludzi, lecz na ogromnych przedmieściach otworem stojące domy wabiły więcej żołnierzy. Szał opanował ich jakiś.

W pośrodku przedmieścia, na pagórku wyniosłym, stał okazały gmach z drzewa, na ogromnych słupach wzniesiony, szkarłatną barwą malowany, oponami obwieszony dokoła. Była to świątynia pogańska Trygława, czczonego przez Pomorców, do której z dalekich stron ludy po wyrocznie chodziły.

Tu także dopadł oddział jeden, spodziewając się największego łupu, lecz u parkanów opasujących budynek tłum guślarzy, wieszczków, posługaczy ściśnięty rozpaczliwie świętości swych bronił. W ciasnych wrotach z dzidami i toporami rozwścieczeni stali starce, kobiety, młodzież i rzucając się na miecze Polan chwyтали je gołymi rękami, krwawiąc się i rżąc, byle oręż wyrwać

nieprzyjacielowi. Drudzy jeźdźców z koni ściągali lub bezbronni kęsali i rwali ich jak zwierzęta

dzikie. Parkan drewniany, który dokoła obwodził świątynię, gdy go przecić i rąbać poczęto, obalił się w końcu, przygniatając sobą część obrońców.

Gdy ten pas rozerwany został i padł, reszta ludu stanęła w progach świątyni, z tą samą bronią jej zawziętością. Tu bój był najstraszniejszy, bo z jednymi, przed sobą stojącymi, z drugimi, którzy zewnątrz oblegali, walczyć musiano.

Wśród walki tej jedna z opon, które jeszcze kryły wewnątrz świątyni, urwana padła na głowy tłumu i poza nią ukazał się olbrzymi posąg trójgłowy, cały blachami złotymi obity, u którego stóp, na kamiennym ołtarzu, płonął ogień na pół już przygasły. Na słupach i w głębi, na tylnej ścianie, wisiały oręż kosztowne, tarcze, zbroje i hełmy, stały oszczepy stosami, połyskiwał złoty i srebrny sprzęt świątyni.

Cisnąc przed sobą starców i niewiasty krzyczące, obalając je pod nogi, żołnierze wpadli do środka. Tu już nie bój, ale rzeź się poczęła, bo nikt nie ustępował, nie chciał poddać się żaden. Leżący na ziemi nożami rozcinali brzuchy koniom, kaleczyli traktujących ich ludzi, czepiali się jak pijawki i ciągnęli za padającymi. Póki stało w nich życia, do ostatniego drgnienia bronili swojego boga i chramu.

Krew ciekła z progów dokoła, po trupach i dyszących jeszcze ciałach iść trzeba było do posągu i kilku ludzi drągami napałszy z tyłu, zrzucili go z podstawy, na której był wzniesiony. Olbrzymi bałwan z trzaskiem obalił się na ziemię i padając na ciała kupami leżące przed nim zgniótł je, aż krew z nich trysnęła.

Pół świątyni zalegał kloc ten drewniany, który z blach odzierać poczęto.

Jedni chwyтали zbroje ze ścian, włócznie i stanice poświęcane, drudzy dobywali się do podziemnego skarbcza świątyni, który pełen był złotych i srebrnych naczyń, opon i wszelkiego sprzętu drogiego. Nadbiegający później poodrywali boczne opony i gmach stanął na przestrzał otwarty. Pustoszyła go garść zwycięzców.

Zaledwie ci, co zdobyli świątynię, mieli czas ujść z niej, gdy już płomień obalonego ołtarza poczęło chwytać szaty na trupach, a wiatr rozdymający ogień niósł go po gmachu całym. Zaczęły płonąć słupy i ściana tylna, suche drzewo smolne gorzało szybko i ogień pnąc się po nim dachu już sięgał.

Obciążeni łupami musieli co prędzej unosić życie z płomieni, które szerzyły się, obejmowały wszystko i jednym stosem czyniły olbrzymią budowę.

Wyschłe słupy, przepalone od dołu, wnet się chwiać: poczęły i gdy dwa z nich przejadł ogień, ciężki dach z belkami z ogromnym łoskotem runął, pokrywając sobą trupy, krew przelaną, posąg Trygłowa i straszne owo pobojowisko.

Rozprysnięte iskry niosły się stąd na dachy domostw dokoła, w których dokazywali żołnierze. Wybiegały z nich jęcząc półnagie niewiasty i padały sznurami za szyje chwycone. Innych niemiłosiernie dobijano. Był to straszny odwet za krwawe spustoszenia osad polańskich na granicach.

W bramach walczyły jeszcze dwa pułki Skarbimierza i Żeliszawa, chcąc się dostać do wnętrza miasta, lecz oprzytomniała ludność, chwyciwszy broń, przystępu broniła tak rozpaczliwie i zajadle, jak ci, co padli w gruzach świątyni, Trzy razy, rozbiwszy tłumy, wparł się Skarbimierz do wnętrza i trzykroć został wyparty tym murem ludzi, wśród którego i trupy, nie mogąc paść, drogę tamowały, popychane przez żywe masy, co je ścisnęły dokoła.

Wśród płomieni, rzezi, wrzasku Bolko obiegał gród, szukając wnijścia, zbierając rozpierzchłych ludzi.

Bój ten dziki, krwawy, szalony, przedłużał się dzień cały, trwał do wieczora.

Nie było już nadziei zdobycia grodu samego, kazał więc królewicz w rogi dać hasło do odwrotu, na zbór rozpierzchłym. Lękać się było można, aby poganie klęską do rozpacz przywiedzeni nie wybili się z przeważną siłą z miasta i nie rzucili na oblegających.

Świątynia obalona, złupione i zniszczone przedmieścia, ogromna liczba niewolnika, bogaty łup płaciły za wyprawę, siały trwogę imienia Bolesławowego u pogan. Cel był choć w części osiągnięty.

Długo na próżno nawoływano do odwrotu; wśród wrzawy i trzasku

płonących domostw rogów słyhać nie było, dymy zasłaniały chorągwie, które na znak do góry podnoszono. Musiała starszyzna biec na pogorzelska i upojone żołnierstwo gwałtem prawie zmiędzy domostw i zwalisk wyciągać. Niejeden też tu padł, schwycony, gdy się zapędził, przywalony belką padającą z góry, raniony pociskiem z murów, z których kamienie i strzały się sypały.

Mrok padał, gdy z trudnością udało się pułki rozbite zwycięstwem nazad przez Persantę przeprowadzić na wzgórze, gdzie na część nocy obozem się położyć musiano, dopóki by żołnierz oszalały nie ostygł, niewolnika nie spętano, nie zbito w gromady, nie rozporządzono odwrotu. Długo tu leżeć nie było można, bo część ludności z przedmieść rozbiegła się po okolicy i co chwila odwetu a napaści dziczy spodziewać się było trzeba.

Z wolna żołnierz się skupiał rozprzęgły. Bolesław, który jeszcze na koniu stojąc patrzył na pogorzelsko i gród nim opasany, smucił się wielce. Nie takiego pożądał zwycięstwa.

Przy koniu jego stał Skarbimierz ranny, ze zbroją potłuczoną, tak smutny i zawstydzony jak on.

— Bóg nam nie pobłogosławił — mówił królewicz. — Łupu wiele! Co po

nim? Gród, gniazdo ocalało! Świątynię spaloną odbudują, a serce miasta zostało całe! Odrodzi się węzowe plemię z popiołów.

— Strzymać ludu nie było siły ni sposobu — mówił wzdychając

Skarbimierz. — Ponęta zbyt wielka była, jeńca stręczyło się mnóstwo, dziewczęta i chłopcy krasne i zdrowe — kupi i bogactw mnóstwo. Nieszczęsna chciwość zgubiła nas!

— Miłościwy Panie — wtrącił Żeliszaw — pocieszmy się. Nie szliśmy

darmo, cios zadany Pomorcom ciężki. Padła wielka ich świątynia, postrach rzucony nie da im już przedmieść odbudować, nie będą się w nich czuć bezpieczni. Zajęci w domu granicę w spokoju zostawią.

Nic nie rzekł Bolko. Niepocieszonym był, wyprawa o gród się rozbiła, rycerstwo jego nie posłuchało wodzów głosu. Myślał w duchu, że powrócić musi raz jeszcze, aby dopiąć, co postanowił.

Całą noc nikt nie spoczął. Do czynienia było wiele. Ciągłe jeszcze zwlekali się opieszali. Zrzucono zdobycz na kupy, opatrywano, obmyślano, jak obciążonym nią powracać. Konie i wozy wprawdzie znalazły się w zdobyczy także, lecz tych nie starczyło, żołnierz musiał brać na barki i konia, czego porzucić nie chciał.

Młodszych jeńców, do pracy zdolnych, pętano i wiązano kupami, starsi padali ofiarą.

Dziki ów lud, znany z wypraw Polanom, na miejskich śmieciach wyrosły, innym się wydawał, słabszym zarazem i dorodniejszym, zuchwałym, a do boju niewiele wprawnym. Jeńcy z ziemi się podnosili, z jękiem poglądając na zgliszcza miejskie, wyciągali ręce ku nim i płakali. Nikt o litość nie prosił. Wiedzieli, że ojcowie ich, którzy Polan napadali, nie mieli jej dla nich. Z oczyma wlepionymi w morze siedzieli drudzy, wiedząc, że go już więcej nie zobaczą.

Noc już była, gdy garść jeszcze zbłąkanych żołnierzy poślednia ukazała się od strony miasta. Gdy się zbliżyli, Żelisław, który na czatach stał, postrzegł

pośród żołnierzami nędznie odzianych ludzi kilku, na pół obnażonych, poufnie rozmawiających z prowadzącymi. Już z języka poznał w nich swoich, lecz do wojska nie należących. Wybiegłszy przeciw nim, ze zdumieniem ujrzał w nędznych łachmanach boso idącego przodem Szlązaka, ziemianina Krupę, którego przed kilką miesiącami kupa jakaś Pomorców ze dworu jego nocą porwała i uprowadziła z rodziną całą.

Krupa, którego trzymano uwięzionego w grodzie dla okupu, korzystając z trwogi i zamieszania, razem z kilką innymi wyrwać się potrafił, z wałów spuścił i zbiegł z nimi do swoich. Niewolą był tak osłabły, iż choć go radość wielka z odzyskanej swobody ożywiała, zaledwie mógł wydobyć z siebie słowo. Wszyscy obstąpiwszy go prowadzili wprost do Bolesława, aby się czegoś od niego dowiedzieć.

Zobaczywszy go królewicz, który tylko co legł spoczywać, wstał uradowany wielce, wołając:

— Milszy ten oto łup jeden nad całą złotą kupę. Niech Bóg będzie

pochwalony za niego i za świątynię, którąśmy w perzynę obrócili. Reszta za grzechy nasze.

Krupa płacząc ścisnął kolana pańskie, a że słabym był, królewicz mu wina kazał nalać komornikowi, aby siły do mówienia odzyskać. Obstąpiono go kołem.

Począł opowiadać Krupa, jaka trwoga panowała w mieście, i upewniał, że gdyby w pierwszej chwili udało się było wpaść gromadzie zbrojnych do środka, miasto by zdobyte zostało, a z nim skarby

wielkie, oręża mnóstwo i niewolnika polskiego nie mało.

Dopytywali go drudzy o jeńców różnych, nad granicami pochwytyanych.

Liczył niektórych Krupa, co zostali w Kołobrzegu, opowiadał o innych, że ich posprzedawano za morze i do innych miast pomorskich. Z dzielnicy tylko Zbigniewa, jak upewniał, pobranych uwalniano bez okupu. Potwierdzało się tym porozumienie księcia z nieprzyjacielem. Z niedowiarstwem słuchał o tym Bolko, inni do opowiadania podbudzali, badając, jak to być mogło!

— Nie inaczej jest, tylko tak, jak mówię, prawda to święta — dodał Krupa.

— Nie jeden raz, ale dziesięć razy widziałem Pomorców powracających z wyprawy. Więźniów pobranych u nas stawiono zaraz i szła starszyzna dopytując ich. Czyj? Z jakiej dzielnicy, Bolesława czy Zbigniewa? Kto rzekł, że Bolesława był, sprzedawano go i wiązano, Zbigniewowych zaś puszczano wolno, aby się panu oznajmywali i mówiono głośno: — Druh to nasz jest, czynić mu się krzywdy nie godzi.

Starszyzna krzyczała gniewna.

— Nie takli? Nie mówiliśmy? Jawnym zdrajcą jest! Na nas i na królestwo nasze wiąże się z nieprzyjaciółmi. Głowę by dać winien!

— Że Pomorcy z nim, a on z nimi zna się dobrze — mówił Krupa —

naocznie miał dowody. Widziałem, jak do niego posyłano, jak on tu swoich ludzi potajemnie wyprawiał, oznajmując, kędy księżę nasz, gdzie i z jaką siłą się znajduje.

Słyszając to dowódcy miotali przekleństwa i z gniewu utrzymać się nie mogli.

Milczał Bolko zasępiony. Krupa nie tylko szczegóły najmniejsze przytaczał, ale prawdę słów swych poprzysiąc był gotów, wraz z kilką innymi ludźmi, jak on zbiegłymi z niewoli.

Więc choć dzień ten mógł rozweselić serce królewicza, chmurny położył się przy ognisku, jak by największą poniósł klęskę.

Na próżno przytomny ojciec Hilarion pocieszał, przypominając, iż było za co dziękować Bogu, a nie skarżyć się, bo orężowi pobłogosławił i zdradę odsłonił.

— Tak, ojczy mój — rzekł księżę — ani zaniedbam złożyć Bogu dzięki i ofiarę, bośmy walczyli szczęśliwie, a nie nadaremnie. Lepiej by jednak być mogło, gdybyśmy nie dali się ująć pokusie i chciwości grzesznej. Nie przetoż się smucę.

Trapi mnie, co opowiada Krupa ten, bo zdrada braterska nad wszelkie bole jest większą boleścią. Ze krwi mi bratem jest. Znałem go złym, nie chciałem wierzyć zdrajcą. Pamiętne mi słowa ojcowskie, iż który na kraj z wrogiem czynić zmowy będzie, od praw swych odpaść powinien.

— Sam on się z praw tych wyzuł — rzekł kapelan. — Nie krzywda mu się stanie, ale

sprawiedliwość, gdy dzielnicę utraci.

— A ludzie rzekną, że to uczynił nie dla jego grzechu, ale dla mojej żądzy panowania, choć widzi Bóg serce moje! — dodał Bolesław.

— I Bóg osądzi sprawiedliwie — dodał ojciec Hilarion — a zaprawdę lepiej jest, ażeby ginął jeden niż przez jednego tysiące.

Rozmowa z duchownym przeciągnęła się dłużej, nadszedł Skarbimierz i starszyzna. Wszyscy rozjątrzeni, zburzeni, domagali się ukarania i

natychmiastowego sądu. Bolko był nadto rycerskiego i chrześcijańskiego duchem mężem, by łatwo do surowości względem brata dać się skłonić. Zaklinano go i naglono na próżno. Stał przy tym, aby raz jeszcze słać do Zbigniewa. Chciał mu oddać zwierzchnią władzę nad królestwem całym, byle go bronił i knować przeciw niemu zaprzestał. Nie mogli go przekonać ani stary Wojsław, ani Żelisław, ni Skarbimierz.

Ten, słuchając ostatniego postanowienia pańskiego, rzekł do królewicza:

— Na nic się nie przyda ofiara. Wojować on nie umie i nie będzie, a knować nie przestanie. Przyjdzieli państwo to i ziemie jego na ręce nieudolne, rozsypią się i rozerwą.

Bolesław nic nie rzekłszy, przy swoim trwał. Nazajutrz, gdy wojsko łupami obciążone w pochodzie było, kazał do siebie Skarbimierza przywołać, podarki mu z łupów dla brata wydzielił, między innymi dziesiątek chłopów w Kołobrzegu pochwyconych, i do Płocka go z tym odprawił. Miał on raz jeszcze o wierność napomnieć Zbigniewa, grożąc mu, iż w ostatku dla obrony własnej i ziem tych coś przeciw niemu począć będzie musiał, choćby serce bolało.

Niechętnie posłuszny Skarbimierz z małym pocztem wyruszył znowu,

zawracając się z drogi, do Płocka. Nie pochwalał on tej pobłażliwości i zwłoki, bo Zbigniewa znał dobrze.

W Płocku o wyprawie na Kołobrzeg nie wiedziano jeszcze, gdy Skarbimierz z jeńcami na zamku się stawił. Opadli go wszyscy, pytając, opatrując, dziwując się tak szybkiej wycieczce.

Przypadł Sobiejucha zdyszany, wylękły, a zobaczywszy niewolnika i

podarki, posłyszawszy o nowym i nadzwyczajnym zwycięstwie, o zabranej zdobyczy, ręce załamał.

— Mnie tam nie było! — wołał udając zapalczywość wielką. — Byłbym

tych pogan siekał bez litości i łupem się pożywił. Pewnie się nie bronili!

Przyprowadzonych chłopów zabrawszy z sobą, Marko pospieszył do pana.

W chwilę potem i Zbigniew, nie czekając przybycia posta, niecierpliwy wyszedł



sam przeciw niemu, błady i niespokojny.

Nie wierzył opowiadaniu. Płaczące dzieci kołobrzeskie sam rozpytywać począł. Potwierdziły mu one straszliwe zniszczenie przedmieść, spalenie świątyń, zabrane łupy ogromne.

Na twarzy Zbigniewa gniew się malował straszny. Musiał czekać na

uśmierzenie go, nim przeciwko posłowi wyszedł dalej. Przeczuwając złe grożące, stał się wielce łaskawym.

Gdy Skarbimierz ukazał się w podwórku, postąpił ku niemu ręce podnosząc i wołając:

— Bogu niech będą dzięki za zwycięstwo! Orężowi miłego brata mojego szczęści się zawsze. Błogosławieństwo niebios jest nad nim.

Wysłuchawszy tego nieszczerego wynurzenia się, poseł o rozmowę prosił na osobności.

Źle to już wróżyło, zasępił się Zbigniew, spojrział trwożliwie, w sumieniu się czując nieczystym. Weszli do izby razem. Skarbimierz nie zwlekając począł:

— Miłościwy Książę, pono ostatni tu raz sprawiam poselstwo. Pan nasz srodze jest umartwiony jawną nieżyczliwością Waszą. Dowody mamy żywe, że gdy my krew lejem, walcząc z Pomorzanami, Wy z nimi w przymierzu jesteście.

— Ja? Z pogany? Przeciwko bratu? — zakrzyknął Zbigniew. — Godziż się mnie tak obwiniać?! Chcecie się mnie pozbyć! Szukacie pozoru!

— W Kołobrzegu w ręce nasze popadli ludzie, którzy poprzysięgną — rzekł poseł.

Zawahał się książę nieco, lecz wprędce znów zapalając się mówić zaczął:

— Kłamstwo nieczne! Potwarz niegodziwa! Skłócić nas chcą ludzie, aby mnie zgubić. Zaprawdę tłumaczyć się przed wami i uniewinniać z ujmą by było dla mnie. Oto sam jadę do Wrocławia na rozmowę z bratem. Wyprzedźcie mnie, oznajmijcie. Jutro lub pojutrze wyruszę.

Skarbimierz swobodniej odetchnął, nie miał tu już nic więcej do czynienia, a wstręt czując ku Zbigniewowi, rad był, że go z ciężkiego położenia wyzwolił.

Odmówił przyjęcia na dworze i natychmiast udał się do biskupa.

Marko wnet za nim wysłany wzajemne z sobą prowadził dary, wór futer kosztownych i bryły złota. Na biskupstwie opowiadać znów musiał Skarbimierz całą wyprawę szczęśliwą, żywe na sobie okazując jej ślady, po kilkakroć był

ranionym.

Sobiejuha wzdychał i ręce łamał, bo się czego innego spodziewali i pragnęli. W kościele nazajutrz uroczyste, dziękczynne odprawiało się nabożeństwo.

Drugiego dnia rano, gdy Skarbimierz miał jechać, wiedzieli już ludzie jego, że owych chłopów dziesięciu potajemnie, bez okupu Pomorcom odesłano. Tak dalece pilno z tym było Zbigniewowi, iż nawet odjazdu posła nie czekał.

Bolesława zastał Skarbimierz we Wrocławiu odpoczywającego, wojsko też po ciężkiej wyprawie potrzebowało wczasu. Pośpiech, walka, powrót łupem obciążonych zmogły i znużyły. Lecz lud to był młody i krzepki, po największym znużeniu prędko się dźwigający, tak że w kilka dni, gdy król do obozu swego pojechał, nie znalazł już prawie śladu na ludziach szalonej owej wycieczki, o której starsi rozповідаjąc mieli, ją za niepodobną do wiary.

Po obozie rozlegała się pieśń owa, którą sobie wesola drużyna Bolesławowa ułożyła na pamiątkę. Chodziła ona z ust do ust i znalazła się później zapisaną na kartach Gallusowej kroniki\*.

*Słoną rybą śmierdzącą*

*Paśli się ojcowie,*

*Żywej, świeżej zachcieli,*

*Zachcieli synowie.*

*Ojce zamki, oj, zamki!*

*Zdobyli i grody!*

*Synowie się nie zlekli*

*Nadmorskiej przygody.*

*Ojce tury i żybry,*

*Jelenie bijali!*

*Syny morskie! oj, morskie*

*Potwory na fali!*

Na dzień wyznaczony Zbigniew się nie stawił, Bolkowi już dokuczał

spoczynek, chciał znowu słać do niego, gdy trzeciego dnia dali mu znać ludzie, że płocki ksiązę przybywa.

Jechał jak zwyczajnie, gdy w największym był strachu, z najhałaśliwszą wrzawą, ze dworem postrojonym cudacko, nakazawszy co sił dąć w rogi, w bębny bić, a ludziom na różne głosy

zawodzić. Znano go już z tego, bo się nigdy inaczej, jak z tym szumem i wrzaskiem nie jawił. Choć w podwórcach hałas się rozlegał

straszliwie, Bolko nie wyszedł naprzeciw bratu.

Powitał go w progu Skarbimierz i wprowadził do izby. Spotkali się zimno.

Bolko wstał, zobaczywszy wchodzącego, skinieniem głowy go przyjął i miejsce obok siebie ukazał.

Zawczasu się przygotowawszy na rozmowę z bratem, Zbigniew przybrał do niej twarz wesołą, spokojną, niemal dobroduszości pełną. Przywdział też starszego powagę.

\* Pisces salsos et fetentes etc. Gallus. (Przypis autora).

Bolko z natury otwarty, serdeczny, nie umiając ukryć, co czuł, siedział

zimny, na licu miał gniew i na wodzy utrzymać go nie umiał. Spostrzegłszy to Zbigniew, uczynił się słodszy dlań jeszcze.

— Bracie miły — odezwał się — od dawna pragnąłem rozmówić się z

Wami. Przez posły źle się sprawy czynią. Ludzie stanęli między nami i kąkol sieją.

— Jam też rad posłyszeć z ust Waszych, co na obronę swą macie — odezwał

się Bolko. — Czyny twoje jawne i jasne przeciw tobie świadczą za mną.

Przypomnijcie, ile już lat od śmierci ojca upłynęło. Byliżeście choć raz mi w czym pomocą? Siedzieliście zamknięci u siebie, mnie znać nie chcąc. Jam za siebie i za Was wojować musiał. Z tymi, z którymi ja się biłem, Wyście się kojarzyli!

— I Wy temu wierzycie? — śmiejąc się rzekł Zbigniew.

— Cóż macie na swą obronę!? Są świadkowie — zawołał Bolko.

— Ja? Mam sumienie moje — rzekł Zbigniew poważniej. — Nigdy nie

występowałem przeciwko Wam! Nie szedłem na wojnę, bo do niej, jak Wy, zdolny nie jestem.

— Dlaczegoż ludzi mi swoich dać nie chcieliście!? — pytał Bolko.

— Ludzie moi z twoimi się mierzyć nie mogą, wstyd by mi było — rzekł

Zbigniew. — Chcecie? Dam ich! Poślę! Nie słałem ich, bo się na niewiele zdadzą, macie swoich dosyć. Bałem się sromu!

Wyraz mowy łagodny, pozorna jej szczerłość, ujęły Bolka. Zaczynał już, będąc zawsze skłonny uwierzyć każdemu (wszyscy mu to zarzucali), mięknąć i słabnąć. Zbigniew to uczuł i śmielszym się

stał, mówiąc za sobą.

— Bracie — rzekł z wyrazem przestrogi poważnej — ludziom nie wierzcie.

Ci, co nas otaczają, przewrotni są, a ciebie i mnie za narzędzia używają do swych celów. Drużyna twoja rada by cię widzieć na czele wszystkich ziem, więc podburza na mnie, który stoję na przeszkodzie. Nakłaniają cię do popełnienia niesprawiedliwości. Łupem moim radzi by się z bogacili. Sądźcie mnie zaocznie z ich słów.

Bolko słuchał. Miał wprawdzie dowody zdrady jawne, a wstyd mu ich było bratu w oczy wyrzucać. Rad je był tłumaczyć tak samo, sprawą jego drużyny.

— Nie dosyć ci dawnych moich przyrzeczeń — mówił Zbigniew — nie

wierzysz im? Wezwij swą starszyznę na świadków, wobec nich nowe uczynimy przymierze, podamy sobie ręce raz jeszcze, poprzysiężemy. Będę ci wiernym, dam ludzi i posiłki, szczerze i po bratersku chcę stać przy tobie.

Czegóż więcej mógł pożądać Bolko? Rozjaśniła mu się twarz, wyciągnął

rękę. Zapomniane zostało wszystko. Po chwili poufnej rozmowy szli, ujawszy się pod ręce, do stołów, które na nich czekały.

Skarbimierz spojrzał tylko i posmutniał, jawnym dlań było, że Bolko się dał

uwieść znowu. Postrzegł, że i inni dowódcy spoglądali niechętnie na płockiego księcia.

Belina bez Ręki, stojący niedaleko, szepnął wzdychając:

— Panie, już ci zgoda zrobiona?

— Nie inaczej, nowe, uroczyste zawieramy przymierze, którego będziecie świadkami. Poprzysięże je.

— Przysięga nie kosztuje nic — rzekł Belina cicho.

Inni też wojewodowie trzymali się opodal i nieufnie, ale Bolko na to, nie zważał.

Zbigniew tegoż dnia sami przez swoich podarkami i słowy zręcznymi starał

się sobie pozyskać panów, z których prostoduszniejsi dali mu się wziąć, jak brat.

Zwołano starszyznę, wystąpili przed nią oba bracia, stanął Zbigniew i wobec panów, duchownych i świeckich, głosem śmiałym, jawnie ponowił uroczyste przyrzeczenia druzby i wierności Bolkowi.

— Klątwą ją na Ewangelii gotów jestem stwierdzić — dodał ręką

wyciągając.

— Amen! — rzekł przytomny biskup.

— Amen! — odezwał się stojący u boku Skarbimierz. — Lecz jeśliby i to uroczyste poprzysiężenie nadwerżone było i złamane, natenczas my Miłościwego Pana naszego prosić, błagać i zaklinać będziemy, aby uczynił koniec, jaki przystało, sam kraje te objął i rządził nimi, gdy sam jeden bronić ich musi.

Zbigniew głowę tylko pochylił, ale krwią mu twarz zaszła.

Po uczcie dnia tego wyjechali bracia do obozu, około którego gonitwy z oszczepami odbywać się miały w szrankach. Zbigniew ujrzał tu wojsko, jakiego nie widział, rycerstwo, którego postawa, męstwo, zręczność napęliło go zazdrością i gniewem.

Wieczorem późnym, gdy sam na sam pozostał z Sobiejuchą, Zbigniew puścił

wodze roznamiętnieniu, które przez dzień cały ukrywać musiał.

— Zmusili mnie nożem na gardle do przysięg — rzekł do zausznika swego

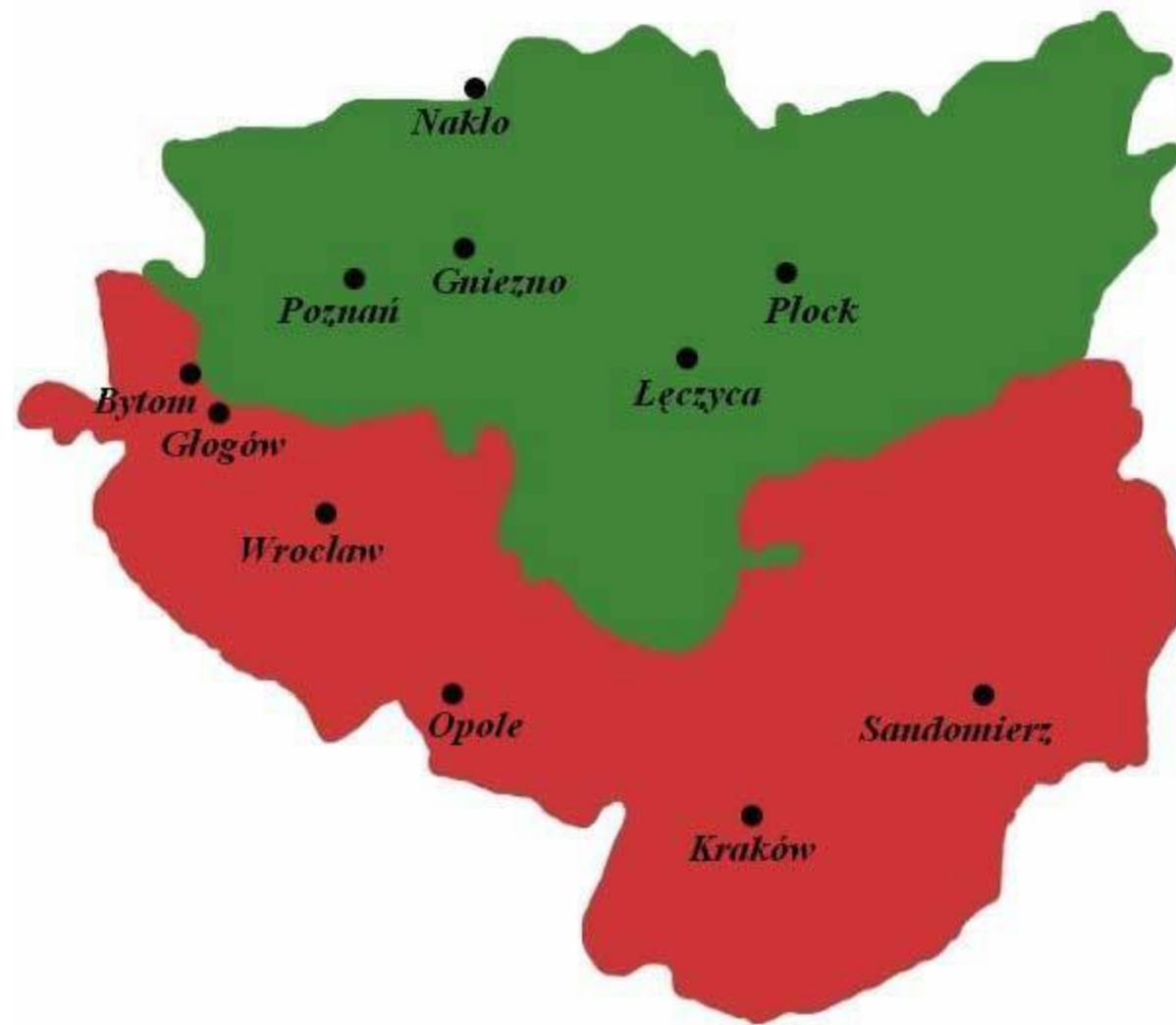
— ale wymuszone śluby nieważne są. Sromem mnie tu poją i złością! Pomszczę się tego lub zginę raczej, niżbym żył w tym upodleniu! Jak sługa i dworak jego musiałem się tu włóczyć za nim i podziwiać jego rycerzy! Nigdy mu tego nie przebaczę! Czekałem długo, przyjdzie i moja godzina.

Marko za kolana go chwycił, prosząc, aby milczał, tak się lękał, aby ich nie podsłuchano.

— Miłościwy Książę, z mową bądźcie ostrożni, wszystko się zrobi, co zechcecie. Nadarza się zręczność.

Zasłaniając się rękami i szepcząc po cichu, Marko oznajmił panu, że ziemianin mieszkający nad granicą pomorską zaprosił właśnie księcia Bolesława na poświęcenie nowo zbudowanego kościoła i ślub swój, który się wkrótce miał

odbyć. Książę z małą garstką drużyny zjechać obiecywał w gościnę. Łatwo było nasłać kupę Pomorców, dając im znać o tym.



Zbigniew pochwycił myśl tę chciwie i namiętnie.

— Na wagę złota za jego trupa opłacę! — zawołał mściwie. — Niech raz przynajmniej ta dzicz go zmoże i pomści się za własną krew i za mnie!

Uradzono po cichu tego wieczora, aby Sobiejuchą z drogi jechał do Gniewomira pomorskiego i dał mu wiedzieć czas i miejsce, gdzie Bolka mogli prawie bezbronnym pochwycić.

Mapa podziału Księstwa Polskiego w 1102 roku.

## II

Wesela w owych czasach odbywały się jeszcze na wpół pogańskim

obyczajem. Wstyd było mniej nad dni czternaście zebranych gości przyjmować, a inaczej ich ugaszczać, jak pojąc i pobudzając do szaleństwa nie umiano. Co tylko mógł mieć dom, co się kupić, wymieniać, sprowadzić dało, musiało podostatkiem otworem stać dla gości. Niejeden naówczas ubogim się stawał przez wesele, gdy go sproszone tłumy obsiadły i objadły. Podarki wprawdzie przywozili goście, ale każdy też nawzajem otrzymać musiał dar jakiś. Raz w życiu sprawiało się takie wesele, raz przez dni czternaście pan młody był księżęciem, pani młoda księżną, królowali swym szczęściem, odbierali hołdy, lecz płacić za nie musieli, jak by księżętami byli w istocie.

Nikogo naówczas od wrót domu nie godziło się odpychać, a kto zasłyszał o godach, włókł się na nie z daleka, aby się napił i nakarmił do syta. Nie miał kto innego podarku dla nowożeńców, przywoził z sobą pieśń, błaznowanie, wesołość na wymianę, drudzy gusta i wróżby. Do bogatszych władyków zjeżdżały się ziemie całe, każdy z liczną drużyną, im kto majątniejszy, tym z większym dworem. Gdy pan młody rad był, miesiąc cały trzymał gości.

Na osiem dni przed weselem ludzie się już ściągali, mniej nad drugie tyle po ślubie trzymać się nie godziło. Gdy obrzędy kościelne połączyły się później ze starym obyczajem, wesela stały się uroczystsze jeszcze, a nie mniej huczne.

Duchowieństwo na wiele zbytków starzyzny przez szpary patrzyło; dużo pozwalało się czasu takich ślubowań, co gdzie indziej surowo broniono.

Niemal na samej granicy siedział Skarbimierza powinowaty, młody Niemir, który w królewiczowskiej drużynie służył, a Żelisława Beliny córka zań wydaną być miała. Wszystkie te rody były w łaskach i zachowaniu u Bolesława. Gdy Niemir przybył prosić o pańskie błogosławieństwo, rzekł mu śmiejąc się królewicz i uderzając go po ramieniu:

— Wojny na czasie nie mamy. Pomorcy popłoszeni cicho siedzą, czemuż i mnie na gody nie wezwiecie?

Niemir do kolan się pochylił:

— Mógłżebym ja mieć to szczęście i pana widzieć u siebie?

— Muszę zjechać, choć nie prosicie — odezwał się Bolko. — Jednego dnia nas nieboszczyk król na rycerzy pasował, braterstwo z sobą mamy. Zda mi się też, że w lasach mieszkacie, dokoła ich tam dosyć i zwierza musi być pełno. Zjadę razem na gody i łowy. Wszakci i kościół pono święcicie?

— Tak, Miłościwy Panie — mówił wesoło Niemir. — Postawiłem chędogi

dom Boży, acz mały. Biskup ma go poświęcić, a ja w nim pierwszy ślub wezmę.

— Ja Wam wiec będę swatem! — rzekł Bolko ochoczo. Niemir

przykleknąwszy chciał go za to w rękę pocałować,

Bolesław za głowę uściśnął i odprawił uradowanego.

Pana mieć na weselu doma szczęście było wielkie. Choćby we sto koni przybył, a miesiącami siedział, Niemir cieszyłby się takim gościem. Skarbimierz i Żelisław Belina szli zaraz panu dziękować za łaskę. Niemir też niejednym raz w bitwach za królewicza życie stawił, a od dzieciństwa przy nim trwał.

Gdy we Wrocławiu o tym wieść gruchnęła po dworze, Marko ją przyniósł

Zbigniewowi. Wiedziano, że Bolko jechał w kilkadziesiąt koni tylko. Lasy dokoła gęste były, nieprzebyte i aż do granicy pomorskiej się ciągnęły. Chociażby orszak królewicza miał się gośćmi Niemira pomnożyć i urosnąć, Pomorcy mogli zasiąść nań w przeważającej liczbie, osaczyć go jak dzika.

Sobiejuha w powrocie do Płocka znikł w drodze, ruszył tajemniczo w kilka koni, nie było go dni dziesiątek, wrócił z podarkami obfitymi, wesóły, a gdy do pana poszedł z nowiną, siedzieli z godzinę na rozmowie wesolej i słychać ich było z dala, jak rażno wykrzykiwali.

Tymczasem na zamku w Płocku poczęto czynić jakieś nadzwyczajne

przygotowania do świetnego występu lub podróży. Ze skarbcza dobywano sukna, krajano płaszcze dla dworu, okrycia na konie. Żyda, owego Natana Ispana, który z Wrocławia przeniósł się był do Płocka, wezwał Zbigniew do siebie, a że ten miał

złotników, którzy klejnoty kuć umieli, dano mu kruszcu i kamieni, nakazując kuć korony i berła. Od śmierci króla Władysława nigdy na zamku płockim tak wielkiego ruchu, biegania i zachodów nadzwyczajnych nie było. Wszyscy zdawali się oczekiwać wypadków jakichś, które władzę księcia powiększyć i położenie zmienić miały. Marko Sobiejuha zawczasu też obiecywał sobie odpowiednią załugom swoim dostojność, z której i Greta się cieszyła, nie wiedząc, że mąż jej pono o zerwaniu związku zamyślał. Wszyscy prawie rachowali na tę przyszłość, która zdawała się im pewną. Zbigniew nie bez myśli dwie korony przysposobić kazał Natanowi, spodziewał, się bowiem, zostawszy sam panem, księżniczkę jaką dostać z Niemiec za żonę.

Uknowano Pomorców napaść czasu wesela lub łowów, bez których Bolko

długo wytrzymać nie mógł, zdawała się nieochybną grozić zgubą. Nikt się ani spodziewać jej, ani przeczuwać nie mógł. Pomorcy byli przestraszeni srogimi klęskami, jakie ponieśli nie tylko w wycieczkach na Polskę, ale na własnej ziemi, w Białogrodzie i Kołobrzegu.

W Niemirowicach tymczasem nadzwyczajne przygotowania czyniono.

Dworzec był nowy wpośród lasów wzniesiony, widłami dwu rzek objęty, opasany tynami, mocny i warowny, bo naówczas inaczej jak obronnie osiedlać się nie było można. Wśród obszernego podwórca wznosił się przy nim kościółek drewniany, jeszcze złocistą barwą świeżego drzewa połyskujący, z maleńką dzwonniceką nade drzwiami i z domkiem obok dla proboszcza. Obszerne



zabudowania przylegały do pańskiego dworca, bo Niemir był zamożnym, ziemie szerokie dokoła należały do niego, osadników na nich podostatkiem było, a daniny, osypy, barcie, stada przynosiły mu wiele.

Roli naówczas wielcy posiadacze ziemi wcale prawie dla siebie nie

uprawiali. Rozdawali ją osadnikom, którzy dawali za to ziarno, część przypłodka z trzody i odprawiali niezbyt ciężką służbę przy dworach na straży, do grobel i posyłek. W przejazdach książęcych musiały też osady często podwoły dostarczać i obroki dla pańskiego dworu.

Rycersko służący pan taki wielkich obszarów, majątności dzierżąc mnogie, sam około ziemi chodzić nie mógł; osadzał na niej ludzi wolnych albo niewolników i jeńców wojennych, zdobytych w wyprawach. Stąd często i osad nazwiska, jak Połowcy, Pomorcy i inne, pochodzenie osadników oznaczały. Z

niewolnikami, rabami, parobkami (parobkami, dziećmi rabów), rachuba była inna niż z ludźmi wolnymi; niewolny człek robił jak bydłę, ile zdołał i co mu nakazano.

Kupowano go i sprzedawano jak towar inny, sam też mógł się wykupić, jeżeli miał

czym, i wolność odzyskać. Są ślady, iż Żydzi naówczas niewolnikami, nawet chrześcijańskimi, handlowali.

Właściciel ziemi bez trudu gotowe miał wszystko: łąkę mu zsiekli osadnicy, owies zsykali, inne ziarno dali na potrzebę dworu, miód dostarczały barcie, mięso własne stada i zwierzyna leśna, ryby — rzeka i stawy. Usługa z niewolnych ludzi się składała lub ze swobodnych, którzy za utrzymanie i niewielką płacę się zaciągali.

Stan to był pierwotny jeszcze, ale też potrzeby mniejsze, na które obficie mało jeszcze zaludniona dostarczała ziemia. Nie wymagano nic nadzwyczajnego od najmajętniejszych dworców, musiało być wszystkiego podostatkiem, ale nie wykwinicie. Piwo warzono doma, miody sycono u siebie, wino do mszy tylko, dla chorych i po królewskich dworach zaledwie się znalazło. Chleb, kasza, zwierzyna, nabiał i prosta ogrodowina karmiły.

Niemir nie potrzebował się zbytnio o przyjęcie kłopotać, choć rodziny swej, drużyny króla, przyjaciół i znajomych kilkuset się spodziewał. Pełne już były szpichrze owsa, stały siana stogi, mąka na chleb leżała w worach, zwierza nabitego, solonego i świeżego, wisiało więcej niż potrzeba. Rybacy pamiętali, aby sieci co dzień zarzucać na stawach.

W napitku ni jadle nie przebierano naówczas wcale. Troskano się więcej o to, jak wszystkich pomieścić, stoły poustawiać i na wypadek słoty się ochronić. Na to służyły szopy ogromne, podsienia przy dworcu, kilka dużych izb doma, a na spoczynek wyżki, odryny, klecie i wszelki kąt, w którym na sianie lub słomie pod dachem położyć się było można.

Gospodarz, przyjaciele, czeladź już na dni kilkanaście przed zjazdem zajęci byli ściąganiem, co jeszcze do uczyty kilkunastodniowej brakło. Zawczasu też złąziła się wszelka gawiedź weselna,

gędbierze z gęslami, kobzami i lirami, guślarze, śpiewacy, błazny i wesołki. Ludzie ci żyli z wesel i chodzili z jednych na drugie, bo się bez nich obejść nie było można, bez ich piosenek, pogadanek, zagadek, żarcików, wróżb, którymi gości zabawiać było ich obowiązkiem. Krewni i družbowie przybywali też zawczasu, mieścili się po kątach, aby nie zawadzać nikomu, i pracowali pospołu z dworem swoim; aby na dzień uroczyste wszystko się przygotowało jak należy.

Chociaż to był początek jesieni, pory, w której zwyczajnie odbywały się wesela, bo dostatek w gumnach był największy, drzewa jeszcze stały z zielenią i liśćmi. Znalazło się jej dosyć na wyścielanie dróg, obwieszenie i ustawienie budowli, do których i nowiuteńki kościółek należał.

Duchowni temu połączeniu dwóch obrzędów: poświęcenia kościoła i wesela, nie bardzo byli radzi, ale trudno było odmówić człowiekowi, który swoim kosztem wznosił dom Boży i w nim się błogosławieństwa na życie nowe dopraszał.

Mruczano, że weselne szwały niedobrze się godzą z poważnym obrzędem i gody nie przystały tam, gdzie się Bogu święci chram nowy, lecz biskup nie przeciwiał się, duchowni też zmilczeli.

Na tydzień przed obrzędem zjazd liczniejszych gości się rozpoczął.

Królewicza dopiero na dwa dni przed weselem najwcześniej się spodziewano.

Jechały Beliny, gdzie się jaki znajdował z tego rodu, Skarbimierzycy, powinowaci nawet dalecy. Proszono i nakazywano do wszystkich, bo im silniejsze a huczniejsze wesele, tym większa cześć dla nowożeńców.

Pod ten czas gdy Bolesława się spodziewano, przeciw któremu młodzież o milę wyjechać miała, wszyscy już prawie zgromadzeni byli na dworze. Panny młodej tylko z matką nie było jeszcze, bo ta dopiero na dziewiczy wieczór ze świetnym orszakiem zjechać miała.

Dziedzińce wszystkie pełne już były i nabite. Po całych dniach około stołów, beczek i kadzi ludu się kręciło mnogo, a podczaszowie zapraszali i nalewali.

Śpiewy rozlegały się szeroko i dziwnie z sobą mieszały, bo często dwóch, trzech i więcej śpiewaków w różnych stronach podwórza zawodziło każdy inaczej.

Czasami też, że czas był piękny bardzo, dni ciepłe i słoneczne, koło młodych dziewcząt i chłopców puszczało się w pląsy, jak to u nas dawnym obyczajem było, ze śpiewami, które, to jak pytania i odpowiedzi, to jak wykrzyki się wyrwały, budząc śmiechy i oklaski. Zwrotka czasem dosadna ściągała słuchaczów i niepomierłą wywoływała, wesołość. Skupiano się dokoła

podskakujących i radowano ich rażności.

Niekiedy stary gęślarz na ławie siedzący począł sobie z cicha jaką pieśń dawną, tłum się uciszał, skupiano się w milczeniu, stali potrząsając głowami, zasłuchiwali długo smutnie. Trudno było ten oddźwięk przeszłości z nowym światem pogodzić.

Indziej wystąpił błazen, co umiał tylko trefnie a słono przemawiać, najczęściej już dobrze

podochocony. Z weselnego wątka snuł dowcipne przekąsy, docinając dziewczętom, aż fartuchami musiały zasłaniać oczy, to chłopcom, którzy się brali za boki, to starym, co się gniewać nie mogli, bo czasu wesela wesółkom wszystko było wolno i nie szanowali nikogo.

Wpół tej wrzawy ochoczej, która mało nie po całych trwała nocach, bo choć jedni spać szli do szop, drudzy wypocząwszy wstawali wywabiani śmiechami, ściągnął z innymi gośćmi dla wesela wrzekomo, z widzenia ledwo znany Niemirowi, Marko Sobiejucha, ochmistrz księcia Zbigniewa. Przybywał pańsko przyodziany ze służbą niczego, z podarkiem, jak należało, i z językiem, którym dobrze obracać umiał.

Przyjęto go jak i drugich gościnnie, dziękując za pamięć i łaskę. Marko się wnet rozgościł i w tłum poszedł do mis i dzbanów, między którymi był jak w domu. Powieści wnet weselnym przerozmaitych opowiadać jał mnóstwo. Trudno go było zrozumieć zawsze, skąd ród wiódł, bo niemal wszystkie ziemie znał, swoje i obce, a zdało mu się wszędzie równo, byle dostatnio było. Wesół człek, wnet sobie druhów jednać począł.

W kilka godzin po jego przybyciu młodzież, która całym poczem wyruszyła naprzeciw Bolka, wprowadziła go z okrzykami ogromnymi wraz z gospodarzem, który też przeciw pana wyszedł z chlebem i solą.

Bolko przybywał wesół, rad, śmiejący się i, jak by dla gospodarza wystąpić pragnął, najśliczniejszą i najdzielniejszą młodzież sobie przybrał do boku, której urodą i siłą nikt się zrównać nie mógł. Chłop w chłopca jak dębaczki wyrosłe bujno, twarze rumiane, oczy wesole, płeć zdrowa, ogorzała, barki silne, budowa giętka, jechali na koniach niewielkich, ale tak zbudowanych jak oni, z nozdrzami rozdartymi, z grzywy długimi posplatany, na każdym koniu okrycie szyte, na każdym wojaku zbroja świecąca jak srebro, u boku miecze ciężkie, przez plecy łuki, u nóg oszczepy spuszczone, na szyjach łańcuchy, na bargach płaszcze. Było takich z pół seciny, nie licząc dworu pańskiego starszego, czeladzi i chłopiąt a pacholąt do posługi.

Królewicz miał na sobie zbroję taką, jakiej tu jeszcze nie widziano, misternie zszytą z żelaza jakby z miękkiej tkaniny, malowaną czarnymi pasy i złotem.

Rycerski też pas jego lśnił się gdyby kwiatami przepleciony w barwy osobliwe, które cudną sztuką w złoto wpuszczone były. Miecz miał z rękojeścią z jednego kamienia drogiego, a przez plecy, na sznurze złotym, kościany róg rzezany, na którym jak żywa siedziała przyczajona jaszczurka. Róg wisiał na złotych pierścieniach.

Wszystko, co żyło, wytoczyło się ze dworu na powitanie pana, okrzykując go, śpiewając, klaszcząc mu w dłonie, przypadając do nóg, chwytając za ręce. Miał

bowiem u ludzi miłość tak wielką, iż ci nawet, co go nie znali, kochali go z daleka, a ci, co się doń zbliżali, miłość dlań czuli większą jeszcze.

Królewicz, który pobożnym był wielce, za ledwie z konia zsiadłszy, choć kościółek poświęcony nie był, zaraz się udał do niego.

Jeszcze w tej nowej świątyni wiejskiej czuć było woń sosnowego drzewa, z którego została wzniesiona. Wszystko w niej lśniło się świecące, ubogo, ale chędogo. Ołtarze drewniane były, ławy proste, krzyż Chrystusów wielki, z Niemiec sprowadzony, nie tak piękny jak w Gnieźnie, ale okazały, i wszystko, co do służby Bożej potrzebne, już w miejscu swym stało gotowe. Uradował się królewicz, że się tu tak krzewiła po lasach, na kresach wiara święta. Mały dzwonek nad dachem wesołym głosem witał przybywających.

Na pamięć tego dnia Bolko też do świątyni z Krakowa kielich i patynę przysłać obiecał, a kościołowi i probostwu nadał zaraz kawał lasu, łąki, młyn na rzece i pięciu osadników, aby pleban o chleb powszedni się nie troszczył.

Chciano królewicza ugaszczać w domu, lecz wolał do stołu zasiąść na podwórzu z ziemianą i rycerstwem, bo mu tu różniej było.

Niemir sam przy panu sprawiał podczaszowstwo i służył. Nie opodał umieścić się Sobiejucha, Bolka z oczów nie spuszczał.

Wkrótce rozmowa o łowach się zawzięła, bo gdy nie było wojny, królewicz łowami, co ją przypominały, się zabawiał. Chwalił się gospodarz, iż w lasach turów, żubrów, łosiów, jeleni i wszelkiego zwierza miał podostatkiem, tak że jak do spiżarni posyłał do boru, gdy mu mięsa było potrzeba.

Dwa dni jeszcze zostawało do wesela, a za stołem Bolko długo siedzieć nie lubił. Ozwał się zaraz Marko, iż o tych lasach cuda słyszał, jakoby jedyne były do myślistwa całę osobliwe, czym królewicza ciekawość zaostrzył. Nalegał

szczególniej, iż na uroczyskach, które Wilczymi Bagnami zwano, o osobliwych stworzeniach słyszał, które między tury a żubrami środek trzymały, a jakich nigdzie indziej nie znajdowano.

Zajął się tym mocno królewicz. Gospodarz nie zaprzeczał, że coś słyszał o tym, ale zwierza podobnego nie spotkał nigdy ani on, ani żaden z jego ludzi, a na Wilczych Bagnach, ku granicy już leżących, gorszy czasem zwierz zabiegał od tura, bo i Pomorców tam zbłąkanych widywano.

Marko zaklął się, że nigdy o niczym podobnym nie słyszał.

— Ano — rozśmiał się królewicz — to by to dopiero łowy były nad wszelką zwierzynę!

Śmieli się i drudzy, gospodarz raz jeszcze powtórzył, że jego bartnicy nieraz tam płoszyli małe kupki pogan, które za zwierzem czy za innym łupem się zapędzały.

Bolesław, niezmiernie tym poruszony, goręcej jeszcze i łakomiej na Wilcze Bagna chciał się na łowy wybierać.

— Gospodarzu — zawołał — jutro, nie dalej jak jutro, spraw nam łowy na Bagnach.

— Miłościwy Panie, wola Wasza — rzekł Niemir — ludzi wziąć trzeba

podostatkiem.

— Cała moja drużyna pójdzie ze mną — odparł królewicz.

Drudzy się też napraszać zaczęli, ale Bolesław nie chciał dużo z sobą nabierać ludzi, aby nie psuć wesela. Uchwalono, żeby mało kto oprócz towarzyszków pańskich szedł na te łowy. Marko też głośno zapowiadał, że towarzyszyć będzie. Dosiedział on do końca rozmowy, przysłuchując się jej pilno, a gdy już godzina, miejsce i lik postawione były, ludzi się naciskało i krążyło dużo przy stołach, z ławy się umknął precz i — znikł. Nikt tego nie spostrzegł nawet.

Obejrząwszy się ostrożnie dokoła, Sobiejucha jakiś czas między stołami się przechadzał, zagadując do znajomych, potem do szopy się wsunął, na sianie śpiącego parobczaka obudził i szepnął mu do ucha:

— Wilcze Bagna, jutro, ludzi będzie z kopa albo i więcej, przed południem.

Ruszaj, a w skok!

Człek zbudzony z siana się wygrzebał, za szopę wyszedł na łąkę, gdzie się konie pasły, szkapę swoją łatwo odszukał, bo mu ona sama do ręki przysła, skoczył na nią i w zarośla wpadłszy przepadł.

Marko zaraz na powrót do stołów powrócił i gadki wesołe na nowo

rozpoczął. Wszyscy ich ochotnie słuchali, bo błaznować umiał.

Bolesław kazał się obudzić zawczasie; czeladź miała konie pokarmić i napoić przed świtem. Marko i inni, co się na niebie znali, raczyli, że pogoda wytrwa, bo znaki na nią były wszelakie. Kury i ptastwo wcześniej na sen poszło, jaskółki wysoko latały, słońce zachodziło czysto, wiatr był od wschodu, snuły się pajęczyny na polach i rosa spadła nie nadto obfita, która deszcz zwiastuje.

W istocie gdy rano, po drugim pianiu kogutów wstawać zaczęli, a ten i ów wyszedł się rozpatrzeć w podwórze, lekka mgła, już po trosze opadająca, pogodę i dobry do łowów dzień zapowiadała.

Zaczęto zaraz psy brać na sznury, konie uzdać i oddział cały, z niespełna stu ludzi złożony, wesoło się puścił w lasy. Gospodarz sam, zmuszony w domu pozostać, dał w zastępstwie brata.

Gdy już wyjeżdżać mieli, Niemir do nóg przyszedł się pokłonić

królewiczowi.

— Miłościwy Panie — odezwał się — gdybyście mi łaskę uczynić chcieli, to byście na Wilcze Bagna dziś nie jechali, tylko na uroczysko Marusze. Tam zwierza też dosyć, a ja bym się Pomorcami cały dzień nie trwożył.

Marko stojący niedaleko aż się rzucił.

— O, o! — wtrącił żywo. — Co pan sobie ma rozkoszy odmawiać! Gdzie

tam kto kiedy Pomorca widział! A choćby i znalazł się jaki włóczęga, to go do siodła przytroczą.

Bolesław rad był, że go poparto. Chciało mu się tego uroczyśka, roześmiał

się, przeżegnał, popatrzał na swą drużynę i tych, co się do niej przyłączyli, i krzyknął:

— Ano, na Wilcze Bagna! W imię Boże, prowadź, młody Niemirze!

Sobiejucha, który wczoraj wielką okazywał do jechania ochotę, teraz właśnie okulał. Opowiadał, że mu koń jego wszetecznie na nogę nastąpił, z czego opuchła tak, że już ją baba musiała okurzać i zaparzać. W istocie nogę miał jedną poobwijaną i włosy sobie niby z głowy rwał, że na koń sięść, a owego turo—żubra widzieć nie mógł.

Jak to u Bolka zawsze we zwyczaju bywało, z podwórca ruszając wszyscy się przeżegnali krzyżem świętym, zmówili modlitwy i w las puścili. Droga na Wilcze Bagna borem była i pustynią, nie torowana, dzika, ciężka, gąszczami. Jadąc dobrze parę godzin, przedzierać się musieli, aż brat Niemirów zawołał, że się już nareszcie do miejsca zbliżają. W istocie z za przeredzonych trochę drzew przeglądała nizina mokra, w części gnijącymi zavalona kłodami.

Drużyna królewicza nawykła wietrzyć w polu i nosy mająca jak u dzikiego zwierza czuła, poczęła wołać, że ludzie gdzieś musieli być blisko. Czuli dym i woń jakąś nieleśną. Zdało im się, że jakiś szelest po bokach słyszeli, ale że łowy miały się tu poczynać dopiero i psów nie puszczono jeszcze, nikt się w bok dla rozpatrzenia nie odbijał.

Bolko jadący przodem już się na łąkę przedzierał, gdy w tejże chwili chrzęst i łomot straszliwy odezwał się naraz dokoła, jak by nagle las od wichru się walił.

Ziemia zatętniała. Nie było to ani stado łosiów, ani trzoda żubrów, tętniały końskie kopyta, dzwoniła broń żelazna.

W jednej chwili wszyscy za oszczepy chwycili i stali pogotowiu. Ze wszech stron ukazywali się przedzierający przez gąszcz i łomy Pomorczy. Liczba nacierających zdawała się ogromna, las był ich pełen.

— Kupą! — zakrzyczał Bolko — trzymać się gromady! Razem! Twarzami

do nich. W imię Pańskie!

O ile obliczyć się dawało przestrzenią przez napastników zajętą, co najmniej kilkaset ich było, doskonale uzbrojonych i dobranych, chłop w chłop. Lecz Pomorcy też mieli do czynienia nie z pospolitym żołnierzem, ale z wyborem najdzielniejszej młodzieży, która za dziesięćkroć liczniejszy ufiec stała.

Nikt przytomności i odwagi nie stracił, sparli się wszyscy ramię do ramienia, głowami końskimi i oszczepami naprzód, huknęli:

— Boże zmiłuj się! — i sami rzucili się na Pomorców.

Uchodzić nie było sposobu, dzicz otaczała dokoła, zajęła tył, osaczyła boki, zza każdego drzewa wyglądała twarz, sterczała dzida okuta, błyskał miecz, świstały strzały. Roiło się pogaństwem wszędzie, szeregami postępowali ściśniętymi.

Jawnym było, że nie przypadek zapędził w tę matnię, ale jakaś zdrada i zmowa piekielna. Przeleciało przez myśl Bolkowi, jak go Niemir prosił, by nie jechał, a Sobiejucha namawiał.

W osiemdziesiąt oszczepów na pół tysiąca lub więcej ludzi się rzucić było rozpaczliwym i groźnym, ale w Bolku szalony gniew rozbudził nie męstwo już, a wściekłość. Puścił się z nie odstępującymi go w gęsty szyk pogan i tłuc ich począł

straszliwie.

W pierwszym starciu na wszystkich bokach przewaga była tak wielka tego tłumu, iż mnóstwo z drużyny pod mieczami i oszczepami padło. Niektórym pozabijano konie, tak że z bronią pomiędzy towarzyszami cisnąć się musieli i walczyć pieszo przeciw napastnikom rąbiącym z góry. Garść Bolkowa zabiła się w jeden kłęb, królewicz z nią wpadłszy między szeregi tak gwałtownie natarł na nie, że je złamał i przez szyk nieprzyjacielski przedarł się, drogę zasławszy trupami.

Mógł uchodzić, ale jak lew rozjadły zwrócił się na dzicz raz drugi, dobywając do resztki ludzi, która od niego odcięta została.

I za drugim tym natarciem Pomorzycy przerażeni, choć się bronili, cofnęli się i rozstąpili, koniowi tylko Bolesławowemu przebito bok tak, że chwiać się pod nim począł. Niemira brat przypadł doń ze swoim koniem.

— Królewiczu! — krzyknął — na miłość Bożą bierzcie konia mojego,

biezcie, a ratujcie się, lepiej, bym ja ginął niż Wy, bez którego zginą ziemie nasze!

Z konia się trzewa wloką.

Gdy to mówił, koń też padł i Bolko ledwie miał czas na poddanego

przeskoczyć, pchając go znowu ku poganom.

Droga za królewiczem trupami ludzi i koni była usłana. Stała się rzecz do uwierzenia trudna, iż tej garści nieustraszonej, która przy Bolku została, ulękli się napastnicy, widząc szal, z jakim rwała się na nich. Poczynali uchodzić. Najmniej dwóchset położyła królewicza drużyna i Bolko.

Walka przez kilka godzin trwała zajadła. W samym jej początku jeden z czeladzi pierzchnął, wprost biegnąc do Niemirowiec z wieścią o nieprzyjacielu.

Szczęściem w pół drogi spotkał ufiec ludzi weselnych, zabawiających się łowami niedaleko, ci natychmiast w cwał pobiegli na pomoc Bolesławowi.

Przybyli za późno, gdyż już Bolkowi, którego w pięciu ludzi wolno jadącego za uchodzącymi

Pomorcami spotkali, rzucić się na nich i pomścić straty nieodżałowanych druhów było za późno.

Zsiadł królewicz na poboju, z płaczem niemal patrząc na trupy swoich towarzyszy, którzy, walcząc mężnie i zasłaniając go, wyginęli wszyscy prawie\*.

Na nim samym kawałka zbroi nie było całego, nie miał miejsca na ciele, którego by nie rażono. Potłuczony był od stóp do głów, żelastwo pogięte i podziurawione, hełm strzaskany, miecz poszczerbiony, oszczep skruszony świadczyły, iż nie unikał niebezpieczeństwa. Mowę stracił teraz i padł jak nieżywy, aż go wodą trzeźwić i oblewać musiano. Krew z ran mnogich się sączyła. Nie zważając na to, chciał biec i mścić za swoich, lecz mu gwałt prawie zadano i pochwycono na powrót do Niemirowie.

Smutny jak pogrzeb był powrót na owo podwórze, z którego niedawno

wyruszał tak wesoło. Ludzie szli naprzeciw niego z załamanymi rękami, witając go łzami. Postradał całą prawie najmiłą drużynę swą, ukochanego Pruszynekę, innych wielu, a i brat Niemira, który mu konia dał, zginął także.

Starszyzna, Skarbimierz, Zelisław, Magnus, wszyscy otoczyli go z narzekaniem i wymówkami.

— Godziłoż się, możnaż było z tą garścią przeciw nawale walczyć, gdy uchodzić tylko, ocalić siebie należało! — wołano.

— Przeklęty, kto miejsce to wskazał na łowy! — krzyczeli drudzy.

Narzekanie było powszechne, płakali starzy, niewiasty jęczały, słysząc opowiadania.

Ostatnich jego towarzyszy porąbanych z koni, bo się już

dźwignąć nie mogli. Ciekła z nich krew i z koni pokaleczonych.

Bolko połamany hełm zdejmując z głowy odezwał się:

— Co się stało, Bożym sądem i wyrokiem stało się. Pomóżcie mi do pomsty nad pogany, a wymówek nie czyńcie, bo próżne są.

Sobiejucha z nogą opuchłą, co mu do łowów przeszkadzała, znikł był od rana. Dopiero przypominając wszystko i wążac zrozumiano, czyją to sprawą być musiało. Wołanie powszechne podniosło się przeciw Zbigniewowi jako zdrajcy.

Bolko potrząsał głową i przeczył, a wierzyć jeszcze nie chciał posądzeniom.

Zawiedziono królewicza do łaźni, gdzie z niego zbroję i kaftan za ledwie ściągnąć zdołano, tak razami były powbijane w ciało i krwią zakrzepłą przywrzałe.



Położono go później na spoczynek, obwinawszy ziołami i płachtami. Nazajutrz jednak wstał i z drugimi razem w kościele i na weselu był przytomnym.

Nie było już ochoty do zabaw i śpiewów, tak wszystkim na pamięci stali ci nieszczęśliwi towarzysze pańscy, których zaraz po ślubie grzebać musiano.

Pamiętne to Niemiry wesele, w długie czasy zwało się „krwawym” i w rodzie sobie o nim opowiadano.

\* Gallus (Przyp. autora).

Bolko, ledwie spocząwszy nieco, z Magnusem razem spieszyć musiał do Wrocławia, bo gońce nadbiegł, że od granicy czeskiej o napaści słyhać było.

Wszyscy w tym czuli i widzieli ukrytą rękę Zbigniewa, jeden Bolko, gdy mówiono o tym, milcząc głową potrząsał i przeczył.

### III

Nie w jednej Polsce pod owe czasy synowie z ojcem, brat z bratem walczyli o władzę i wydrzeć ją sobie usiłowali. Henryk V, który był na niemieckie cesarstwo po ojcu Henryku IV nastąpił, wypowiedział mu wprzód wojnę, podszedł go zdradą, zmusił do zrzeczenia się władzy, do nędznego konania na wygnaniu. W Czechach walczyli z sobą bracia i bratankowie, na Rusi nie lepiej było; nie zapewniał pokoju i zgody żaden związek pokrewieństwa, powinowactwo i śluby. Rycerscy w większej części książęta onych czasów mieli namiętności wojacze, potrzebowali walki do życia, podżeganie możnych rodziło żądze zdobyczy i panowania.

Pomiędzy współczesnymi Bolesławowi Krzywoustemu nie ma jednego z

panujących, który by z nim szlachetnością charakteru stał na równi. Henryk V, który był ojca własnego prześladowcą, sprzedawał wszystko, cesarskie swe słowo, inwestytury, korony, wolność swych jeńców, łaskę monarszą. Wszystko u niego i ulubieńców jego na grzywny się oceniało i kupowało. Na cesarskim tym dworze książęta czescy ubijali się o władzę, płacąc za nią krwią najbliższych. Zbigniewowi podobnych, równie jak on niezdolnych, a jak on panowania chciwych, znajdujemy wielu.

W Czechach górą szli i wicherzyli możni Wrszowice, ciż sami, którzy

Zbigniewowi pomoc dali do wyjścia z klasztoru, Mutyna, żupan lutomierzycki, Bożej, pan na Libicach. Ilekroć ich z kraju wygnali nieprzyjaciele, chronili się do Polski. Zbigniew, gdy mu niebezpieczeństwo zagrażało, do Czech uciekał.

Pomiędzy Czechami a Polską ciągła była zamiana wygnańców, ciągle

przylisko zbiegom dawano. Uchodząc od prześladowania, Żydzi z Pragi przybywali do Polski, odarci z mienia zbiegali nękani przyjaciele obalonych z tronu książąt i oni sami — do Krakowa i Wrocławia. Bolko chwycił każdą zręczność, aby z wojskiem iść na cudze ziemie, ściągać łup, a zdobywać rycerską sławę.

Wojna owych czasów to jeszcze coś tak groźnego i strasznego jak potop i kataklizm niszczący ziemie całe. Za pochodem wojsk nie pozostaje nic oprócz zgliszcz, prócz stratowanych, zastygłych pogorzeli, trupów i kości. Pałą się sioła, obalają grody, ludność tysiącami pędzi w niewolę. Czego nie można gnać stadem, to się zabija na postrach i ofiarę. Często kraje, przez które przeciągnęły wojska zwycięskie, latami całymi powrócić nie mogą do życia. Z jeńców tworzą się osady na ziemiach pustych, daleko od własnego kraju.

Frymark też zabranym ludem jest prawem a obyczajem uświęcony. Kupcy nabywają jeńców i odprzedają ich z zyskiem. Wzięty w plen jest własnością, rzeczą, przestaje być człowiekiem. Dla Zbigniewa stan rzeczy w Czechach był

wielką pomocą i otuchą. Walczyli tam z sobą o władzę Borzywój II z Oldrzychem, Światopług z Borzywojem. Bolko korzystał z tego także i z Żeliszławem puszczał

się wojować Morawy. Na dworze Bolesławowym pełno było ciągle tych, co u niego pomocy szukali i przytułku.

Po jawnej prawie zdradzie i owym nasadzeniu Pomorzan, z których zasadzki cudem się udało ująć Bolesławowi, Zbigniew musiał się wyrzec pozoru uległości dla brata i począł występować przeciw niemu otwarcie. Pomorzani i Prusaków miał

za sobą, rachował może i na pomoc z czeskiej strony. Zaczęto z pośpiechem ściągać ludzi i uzbrajać grody, Gniezno, Spicymierz, Łęczycę. W Kaliszu naprędce nową twierdzę wzniesiono.

Sobiejuha dogodny do pochlebstw, potakiwania i drobnych posług, nie na wiele się zdał panu swemu, o innych myśleć trzeba było, sposobiąc się do wojny.

Potajemnie ściągnięto obietnicami wielkimi dowódców kilku, którzy się w dawnych wojnach wstawili, a na Mazowszu posiadłości mieli. Dwór Zbigniewów inną teraz przybierał postać, gnuśna cisza ustąpiła niespokojnym przygotowaniom.

Najemni wodzowie wmawiali w nieudolnego a chciwego władzy księcia, że łatwo pokona brata, gdy przeciw niemu z całą wystąpi siłą. Pomorcy, Prusacy, Czechy mieli ze wszech stron na dany znak oskoczyć Bolesława, zajmując ziemie jego; wojska Zbigniewa, poparte przez nich, dokonać reszty i osaczonego obalić. Książę płocki, podniecany, roił już pewne zwycięstwo i panowanie przyszłe nad Polską całą. Cesarza miał lub spodziewał się mieć za sobą. Otwarto skarbiec na zaciągi, nie żałując na nic. Gniezno i Płock roiły się zewsząd ściągającym ludem.

Doniesienia zewsząd biegły do Krakowa i Wrocławia o groźnym

niebezpieczeństwie. Z Czech wygnany Borzywój z młodym bratem Sobiesławem, którzy na próżno zebrali pomocy u cesarza Henryka V, a nie mieli jej czym opłacić, chronili się teraz na dworze Bolesława. Przyjęcie i wzięcie ich strony ściągało nienawiść, zemstę panującego w Czechach Światopługa.

Bolko zagrożony całe swe siły gromadzić musiał, ażeby podołać temu, co nań nagle spadało. W zdradę brata o takiej godzinie nie chciał wierzyć, choć była jawną, potrzebował mieć jej dowody. Jeszcze więc raz postanowił posłów wyprawić do Zbigniewa, choć wszyscy tą powolność naganiali.

Wybrano ich dwu, a że Skarbimierz potrzebnym był wojsku, ofiarował się stary Wojsław z młodym Pietraszkiem Żemłą, jednym z drużyny Bolesława, cudownie ocalonym pod Niemirowcami. Bolesław pospieszać im kazał i stanowczą przynieść odpowiedź.

Tym razem posłowie otwarcie powiedzieć mieli Zbigniewowi, że

nieudolnym się okazawszy do panowania, winien był bratu posłuszeństwo.

Zagrożono mu odjęciem dzielnicy, o której obronie i teraz jak wprzód nie myślał.

Wojsław z Żemłą pobiegli do Płocka, gdzie mnóstwo zbrojącego się ludu znaleźli, wozy z zakupionym u Pomorców orężem i tłum spędzony, który dzielono na kupy, szykując go i rozsyłając po

grodach.

Marko, wiszący zawsze przy dworze, pierwszy się nastęrczył przybyłym, lecz nie umiał czy nie chciał im powiedzieć, gdzie mieli szukać Zbigniewa.

Zdawało się, że kryć się chciał, unikając ostatecznej rozmowy, bo się jej treści mógł domyślać.

Przekupieni ludzie szepnęli posłom, że w Gnieźnie siedział Zbigniew, wokoło siebie skupiając co najlepsze siły. Wojsław z towarzyszem nie spoczywając ruszyli natychmiast do Gniezna i tu go w istocie zastali. Zmieniony był wielce pan ów, od czasu jak otucha w serce jego wstąpiła. Znaleźli go siedzącego w podwórku, na pół uzbrojonego, otoczonego żołnierstwem i udającego rycerza. Urosła w nim buta śmieszna. Dwór krzykliwy, grajki, muzyka, zgraja włóczęgów pościąganych zewsząd, nie odstępowała go na chwilę. Marka teraz zastępował Benno Horn, Niemiec sprowadzony dla dowództwa nad wojskami, które się zbierały. Niemłody awanturnik ten czynniejszym był nad Marka, a nie mniej nad niego chełpliwym.

Karmił nowego pana swojego wyśmiewaniem tego wszystkiego, co w Polsce spotykał, szczególnie Bolkowego rycerstwa, przeciw któremu się straszliwie i zuchwale odgrażał.

W towarzystwie Przemka, knezia pomorskiego, Czechów kilku i Horna

przybywający Wojsław zastał księcia, zawczasu rozkazującego otrębować swe przyszłe zwycięstwo. Benno lekceważeniem nieprzyjaciela serca mu dodawał.

Gdy mu posłów od Bolka oznajmiono, rzucił się zrazu jak by strachem ogarnięty Zbigniew z ławy, chciał ujść, aby się namyśleć, lecz za późno już było.

Wojsław nadchodził, a Benno męstwo w nim krzepił.

— Miłościwy Książę — rzekł — kaźcie im zaraz przystąpić i krótką dajcie odprawę. Stanęli ostro, nie ma co już oszczędzać ich i o zgodzie mówić. Wojna nieunikniona, im prędzej, tym lepiej.

Drudzy potakiwali także. Zbigniew jednak do izby wszedł, dworowi kazał

stanąć i dopiero posłów, dopominających się spieszo posłuchania, wpuścić polecił.

Wojsław, Żemła i kilku z drużyny ich stawili się przed księciem. Już z twarzy Zbigniewa znać było, że inne wiatry powiały; siedział naperzony, gniewny, zły, dumny, nie tając się z niechęcią, z jaką przybyłych przyjmował.

Wojsław, człek ciężki i powolny, niełatwo się dawał ustraszyć; pokłoniwszy się księciu, rzekł:

— Miłościwy Książę! Dopraszam się, czybym poselstwa nie mógł sprawić na osobności, bo mam twarde do wypowiedzenia słowa.

— Jam ci do nich przywykł od mego miłego brata! — wybuchnął Zbigniew.

— Mówcie, co macie, posłucham, będę wiedziały co czynić.

— Miłościwy Pan nasz, książę Bolko — odezwał się Wojsław z wolna — po raz ostateczny wzywa Was ku pomocy i wspólnemu wojowaniu z nieprzyjaciół.

Dwóch głów jedno ciało mieć nie może. Nie chcecie być prawicą Bolkową, bądźcie Wy głową, on będzie prawicą. Czymś przecie musi być, kto tyłą ziemiami włada, a Wasza Miłość nie chcecie niczym być, tylko wrogiem.

Zbigniew obu rękami sparł się na poręczach siedzenia.

— Tak więc już do mnie mówicie? — zawołał. — Nie mam na to innej

odpowiedzi tylko tę, co zawsze. Pomawiacie mnie o zdradę, stara to piosenka, aby mi wydrzeć i tę lichą część, którą mi zostawiono. Zatem zagrożony muszę walczyć, aby się bronić.

— Walczcie z nami razem, a nie przeciw nam — rzekł Wojsław.

— Przeciw komu? — odezwał się książę.

— Naprzód Pomorców, pogaństwo podbić trzeba i zniszczyć. Dopóki tam krzyża nie zatknjemy, póki do Retry i Arkony zewsząd lud biegać będzie, ani u nas się chrześcijaństwo nie ostoi, ani spokoju mieć nie możemy.

Zbigniew głową potrząsnął pogardliwie.

— Pomorców trzeba sojuszem pociągnąć, a nie siłą — rzekł — my im rady nie damy. Nie pokonało ich cesarstwo.

— Cesarz miał wielu innych nieprzyjaciół i zachodów — mówił Wojsław —

ziemie te z prawa do nas należą z dawien dawna, nasze są. Po Pomorcach Borzywojowi pomagać musimy.

— Jemu? — krzyknął Zbigniew. — Ja!? Jemu!? Borzywoja znać nie chcę!

— Zatem z nami nie trzymacie i jesteście przeciw nam — odezwał się

Wojsław.

— Jam tak dobry jak i Bolko — przerwał Zbigniew. — Dlaczego ja mam iść z nim, nie on ze mną? Ja starszym jestem!

— Miłościwy Książę — powoli począł Wojsław. — Oto już lat bodaj pięć dobiega, jak czekamy, abyście zbroję wzięli i oręż, a szli wojować. Trudno było iść z Wami, gdyście się ruszać nie chcieli.

— Czy z tym Was tu w poselstwie zesłano, abyście mi plwali w oczy na moich śmieciach! —

zawołał Zbigniew ze złością.

— Nie, ale żebym powiedział prawdę i żądał od Was prawdy — odparł

powolnie i cierpliwie Wojsław.

Książę zwrócił się do stojącego przy sobie Benna i śmiać się do niego począł

szydersko.

— He? Prawdy ci się zachciało, ty stary wieprzu? Będziesz ją miał, gdy ci powiem, że pluję na pana twego, tak jak ty na mnie, a za słowa, któreś mi śmiał

rzec, pójdziesz do ciemnicy!

Skinał ręką na swoich.

— Posłem jestem — rzekł niezmięszany Wojsław spokojnie.

— Ty? Ty szpiegiem jesteś, nie posłem! — zakrzyczał książę. —

Przyszedłeś, abyś podpatrzył mnie i zawiózł wiadomość, gdzie i jaką mam siłę.

Wiedze tę prawdę, że pójde na was, na Bolka, a Czechy, Pomorcy i Prusacy pójda ze mną. Pójde, zgniotę go, upokorzę i rzucę pod stopy moje! Rozumiesz!

To mówiąc wstał zburzony gniewem tym większym, że Wojsław patrzył mu w oczy śmiało, nie ulęknięty wcale, choć na skinienie Zbigniewa wystąpili zaraz pachołkowie i poselstwo otaczać poczęli, cisnąc je precz ku drzwiom.

— Do ciemnicy ich zamknąć i strzec! Szyją mi za nich odpowiecie! — dodał

książę do jednego ze starszyny. — To moja odpowiedź Miłościwemu Bratu!

Posłowie i ich drużyna stali gromadą, miejsce zajmując aż do progu. Gdy na skinienie księcia obejmować ich chcieli pachołkowie, Zemła się z wolna cofnął za swoich aż do wyjścia, wybiegł szybko przez drzwi otwarte, dopadł koni stojących w podwórzu, siadł na swojego co prędzej, będąc pewien nóg jego, i jak strzała puścił się ku bramie. Nim miano czas dostrzec ucieczkę i rozkazać w pogoń iść za nim, już się odsadził daleko.

W kilka minut dopiero Benno, opatrzwszy się, skoczył na dziedziniec, wołając na ludzi, aby zbiega gonili, lecz nim się zbrali do koni, Zemła był na podzamczu, wpadł pomiędzy domy i dobiwszy się do zarośli, ogrodów, opłotków, szop, które tu stały gęsto, znikł między nimi. Nie wiedziano nawet, w której stronie go szukać; a i pytać nie było kogo, bo na drożynie od pól mało ludzi było.

Chociaż Wojsław i reszta poselstwa uwięzioną została, było komu Bolkowi opowiedzieć o ich losie i o jawnym wystąpieniu Zbigniewa przeciwko niemu. W

Krakowie niecierpliwie czekali na wieści. Bolko był właśnie powrócił z Koźła, zamek zastał pełen gości; przyjmował teścia swojego Światopełka kijowskiego, mnogo z nim przybyłych Rusinów. Radzono o gotującej się wojnie, gdy Żemła przypadł sam jeden, odarty, na koniu wychudłym, znękany długą i spieszną drogą, przywożąc o poselstwie wiadomość. Podbiegła zaraz czeladź dać znać panu, który że z gośćmi swymi na wielkiej izbie w zamku siedział, natychmiast Żemłę do siebie przywołać rozkazał.

Za stołami, na poczesnym miejscu Baldwin, biskup krakowski, Światopełk kijowski z kilką książęty, Czechów dosyć było, wojewodów, i starszych ziemian.

Już z tego powrotu i z odzieży domyśleć się było można, jaki los posłów spotkał. Wypadł Bolko przeciw Pietraszkowi.

— Bóg z tobą — rzekł — coć się stało?

— Gromadaśmy pojechali — odparł poseł — a oto sam, ledwie się

wyrwawszy od więzów, powracam. Tam już wszystko przeciwko nam gore jawnie, grody się sposobią, wojsko ściąga wielkie, Zbigniew nie tai się, że wojnę wypowiada i zuchwale się odgraża. Wojsława i wszystkich naszych kazano do ciemnicy wsadzić, jam ledwie konia dopadłszy ujść zdołał.

Bolko nie chciał wierzyć uszom, tak przykrą mu była zdrada braterska, lecz wołał już to wystąpienie odkryte niż knowania pokątne. Gdy się namyślił nieco, twarz mu się rozpogodziła.

— Niechże tak będzie, jako jest — rzekł. — Tak lepiej. Węgrowie mi w pomoc przybędą przeciwko Czechom, a my sami na Zbigniewa, Pomorców i Prusaków starczamy, da Bóg.—Nie wróci już pan brat na grody swoje, skoro podniósł się na mnie. Sam wyrok na siebie pisze. Oczy mu zapłonęły gniewem.

Stary książę kijowski, widząc go tak rozsrożonym, wstał, zbliżył się doń, ręce mu położył na ramionach, w twarz począł się wpatrywać i uśmiechnąwszy, rzekł

łagodnie:

— Synu! Dziecko moje! Ano nie tak gorąco, aby dobrze było. Pójdziemy razem, pójdę i ja stary z tobą, bo zapalczywości twej strzec muszę, abyś jako do gniewu łatwy, do zgody nie był za powolnym.

Znając go książę, śmiał się dobrodusznie.

Wtem Baldwin biskup z siedzenia swojego dorzucił:

— Miłościwy Panie! Ukarać trzeba, ale w sercu gniewu i zapalczywości mieć się nie godzi, boć choć zdrajcą, bratem jest.

— Posłów moich znieważył! — zawołał Bolko, miotając się — tego mu

darować nie mogę i długiego kłamstwa, a przysięg fałszywych!

Na próżno starano się go pohamować. Tegoż dnia, bo w Krakowie czasu nie marnowano, wydano rozkazy do pochodu, gońce się rozbiegli na wszystkie strony.

Trzeciego dnia, gdzie jakie pułki stały, ruszały do najbliższych grodów i zamków Zbigniewa. Bolko ze Światopełkiem, z drużyną swoją i jego, z czeskimi wychodźcami, których na zamku zawsze pełno było, wychodził jak na łowy z gorącością wielką.

Nim Zbigniew do boju się miał czas przygotować, nim Benno ludzi do

pułków pozbierał i uzbroił, nim po zamkach spodziewali się napadu, już Skarbimierz, Żelisław i najlepsi dowódcy, dopadłszy ich, prawie bez walki jeden po drugim zabierać zaczęli. Żadnego z grodów oblegać nie potrzebowali, przed groźbą samą otwierano im bramy wiedząc, że jak dobrym jest panem Bolko i chętnie pokornym daje rękawicę swą na znak przebaczenia, tak nad zuchwałymi litości nie ma jego rycerstwo.

W Gnieźnie zabierano się dopiero na tą wojnę, do której w pomoc iść nie mieli wielkiej ochoty Pomorcy, ażeby zobaczyli, jak i komu się powiedzie, a Czesi też nie bardzo spieszyli, gdy do Gniezna zaczęły przychodzić jedna po drugiej wieści smutne o pozabieranych już grodach. Nie było dnia, by kilku zbiegów nie nadbiegło, donosząc, że Bolkowe wojska zamek jaki opanowały.

Jak straszną była buta Zbigniewa niedawno, gdy sobie zwycięstwo

obiecował, tak gniew i wściekłość, w którą wpadł, rozum mu odebrały. Benno na próżno starał się mu dodać męstwa. Narzekał, że był zdradzonym, szalał, miotał się i co chwila zmieniał rozkazy. To się chciał bronić w Gnieźnie, to uchodzić na Mazowsze, to uciekać do Pragi, to na walną bitwę stawić wszystko, a wydać jej odwagi brakło. Tracił głowę. Tymczasem zamki z kolei poddawały się Bolesławowi, Skarbimierz i Żelisław zagarniali wszystko.

Światopełk, towarzyszący zięciowi, radował się powodzeniu, lecz widząc zapalczywość Bolka rosnącą lękał, aby jej cugli nie puścił i nie stał się zbyt okrutnym przeciw bratu. Baldwin, biskup krakowski, przewidując, że książę unieść się może zbyt i narazić arcybiskupowi Marcinowi, który Zbigniewowi sprzyjał, pospieszył do obozu i nie odstępował Bolesława, wiedząc, że pośrednictwo jego będzie potrzebnym. Stało się to i z naprawy starego arcybiskupa, i z troskliwości duchowieństwa o własne dobro swoje. Nie na rękę mu było zmaganie się w siłę jednego z książąt, od Szczodrego czasów bowiem podział władzy

bezpieczniej osądzono. Zbigniewa ocalić pragnęli biskupi, aby Bolko nie urósł zbyt. Baldwin krakowski stać miał na straży. Słowo biskupie naówczas silniejszym było nad wszystko, a Bolko pobożny i posłuszny ani mógł, ni chciał

woli ojców duchownych się opierać.

Gdy Bolesław doszedł do Gniezna, nie było już w nim ani arcybiskupa Marcina, ani Zbigniewa. Załoga jednak dosyć silna, zamknąwszy się w okopach, zabierała się ku obronie. Wojskiem



zamkniętym na grodzie dowodził Benno, nie wiedzący o losie pana i chcący okazać, że w wojennej sztuce jest biegłym. Okopy mocne, tyny na nowo poprawione, samo położenie miejsca warowne, dawało nadzieję, że obronić się czas jakiś będzie można i może doczekać odsieczy.

Zaledwie pod wrota podszedłszy, Bolko wedle zwyczaju swego kazał z rogami iść ludziom i otrąbić, wzywając do poddania. Nie odpowiedziano na zawołanie, owszem tu i ówdzie strzały puszczone ku oblegającym. Nazajutrz nakazano do szturm się gotować, lecz że wojsko wypocząć potrzebowało, mało co dnia tego przedsiębrano. Wzajem tylko łajali się ci, co na wałach stali, z tymi, co je opasali, odgrażano się, kamieniami ciskano i dzień zszedł na przygotowaniach.

Lecz Benno, mając czas się rozmyśleć, a może i dostać języka, zwątpił nieco o sobie. Dał mu znać przybyły ukradkiem człek, że Zbigniew był już za Wisłą, a inne zamki wszystkie wpadły w ręce Bolkowe. Nie mając więc ochoty stawić karku na szturm, przy którym by opór życiem przypłacił, Benno, naradziwszy się ze swymi, powołał do wrót na rozmowę starszyznę. Postanowił się układać.

Bolesław powiedziec mu kazał tylko, że ma wrota otworzyć i poddać się nie mieszkając, bo innych układów nie dopuści.

Naówczas Benno zażądał rękawicy od księcia na znak łaski i przebaczenia, a gdy tę mu przyniesiono, pocałował ją, sam wyszedł na spotkanie księcia, który po prawej ręce mając biskupa, po lewej teścia, jako zwycięzca, przy odgłosie trąb na zamek wjechał.

Na spotkanie jego wyszedł też i Wojsław, tylko co z ciemnicy wypuszczony, a z nim jego drużyna. Z radością wielką wszyscy prosto od bram poszli do grobu świętego Wojciecha z dziękczynieniem.

Starego arcybiskupa, który stale Zbigniewowi sprzyjał, nie było na stolicy, chciał się bronić w Spicymierzu staruszek, ale tu Baldwin biskup pośredniczył.

Natychmiast, ledwie zajawszy Gniezno, ciągniono na Łęczycę, poddawały się zamki po drodze, osadzano w nich starostów i pochód jednym był triumfem.

Zbigniew nie wiedząc, gdzie się schronić, zamknięty w małym grodku nad Wisłą, losy swe przeklinał i trwożył się o przyszłość. Ale obrońców miał i opiekunów w panach duchownych, w arcybiskupie szczególnie, który całkowitego wydziedziczenia dopuścić nie chciał. Starszyzna Bolkowa, wojewodowie, Magnus, Skarbimierz, Żelisław głośno się domagali co najmniej wygnania zdrajcy, jątrzyli nań brata, przypominali, ile lat wicherzył i jak niebezpiecznym było przy najmniejszej zostawić go władzy. Niektórzy wprost się dlań śmierci domagali, aby wygnany z sąsiadami nie knował i nieprzyjaciół nie podburzał. Już w czasie zwycięskiego pochodu poseł arcybiskupa zalecił biskupowi Baldwinowi, by ratował zwyciężonego. Postanowiono przez teścia Światopełka, przez duchownych wymóc na Bolesławie, by wojewodów głosu nie słuchał i miłosiernym był bratu.

Z zamku łęczyckiego, kędy cokolwiek spoczywano, zabierał się Bolko cios ostatni zadać Zbigniewowi, gdy jednego rana, po mszy świętej ujrzał uroczyście wchodzących do izby, w której się z wojewodami naradzał, arcybiskupa Marcina, biskupa Baldwina z prałatami kilku i Światopełka ze swym dworem. Z wnijscia ich domyślać się było można, że szli z poselstwem jakimś i prośbą. Starszyzna domyśliła się łatwo, o co szło opiekunowi dawnemu Zbigniewa.

— Synu mój — odezwał się do całującego drżącą jego rękę Bolesława o.

Marcin — synu mój, witam cię słowami Ewangelii: „Czyńcie miłosierdzie, jako pożąacie, aby ono wam uczynionym było”. Modlimy się codziennie słowy Chrystusowymi: — „Odpuść nam winy nasze, jako my je odpuszczamy naszym winowajcom.”

Spojrzał arcybiskup na zarumienionego królewicza, a biskup Baldwin

zawtórował słowy:

— Chrystus Pan zbójcom swoim na krzyżu przebaczył i dał nam przykład, który przykazaniem miłosierdzia jest!

Stary kniaź Światopełk zbliżył się za nimi i całując Bolesława dodał:

— Dobrym bądź, a Bóg da ci zwycięstwo.

Bolesław słuchał i patrzył, nie mówiąc nic. Czekał, aby wyjaśniono mu, czego po nim żądano. Duchowni zdali się też oczekiwać, ażeby przemówiło serce i objawiło się usposobienie. Oczyma tylko prosili go za winowajcą.

Staruszek ojciec Marcin trzymał rękę pana i uśmiechał się do niego.

— Błogosławieństwo Boże z tobą, synu mój — mówił cicho. — Bóg

Abrahamów i Jakubów szczęści orężowi twemu, łaskawym bądź, a lituj się.

Wojewodowie stojący nieco z dala marszczyli się, widząc już, co zamierzano wymóc na panu, łatwo wrazeniu ulegającym. Oni przeciwni byli miłosierdziu, którego skutki, znając Zbigniewa, przewidywali. Walka dziś skończona wznowić się musiała.

Bolesław milczał jeszcze, gdy Baldwin się odezwał:

— Za bratem twym, panie, prosić cię przychodzimy. Zwyciężyliście go, zadęliście ziemię, nie gnębcie go i nie karzcie, dajcie mu w spokoju oddychać powietrzem domowym.

Skarbimierz odezwał się z boku:

— Ojcie Przewielebny, miłosierdzie dobrym jest, ale i nad nami je mieć chcecie, nad panem naszym, który spokoju od zdrady jak nie miał, tak mieć nie będzie.

— Odejmijcie mu władzę i panowanie — odezwał się Baldwin — ale nie

czyńcie włóczęgą i żebrakiem. Puśćcie mu do żywota choć to Mazowsze, które ojciec dlań przeznaczył.

Bolesław nie przemówił jeszcze, spojrzał na swych wojewodów, ci zaczęli szemrać półgłosem, a

arcybiskup nie dopuszczając, by się odezwali, powtarzać jął

znowu:

— Czyńcie miłosierdzie!

Skłoniwszy głowę przed nim, królewicz zwrócił się do Magnusa, który najstarszym był. Wrocławski wojewoda i inni z nim, choć za surowością byli, nie śmieli się odzywać już przeciwko biskupom. Skłonili głowy pokornie, twarzami tylko okazując, co myśleli.

— Stanie się, jako żądacie — odezwał się na ostatek Bolko — puszcze mu do żywota jego Mazowsze, ale grody, które przeciwko mnie powznosił, zburzyć musi i iść ze mną, gdy go zawołam ku obronie.

Domawiał tych słów królewicz, gdy drzwi się otwarły z trzaskiem i całe niespodziewany wszedł Zbigniew. Nie jako zwyciężony i upokorzony, lecz jak gdyby sam przychodził przebaczać, z pychą, która się w nim wzmogła wstydem i upadkiem. Chciał okazać, iż się nie czuł pognębionym. Ubrany bogato wiódł za sobą kilku Mazurów, kilku dowódców w zbrojach i przy mieczach. Przystąpił do brata z udaną serdecznością i wprost rękami go objął za szyję, całując z natarczywością, której trudno się oprzeć było.

Bolko serce miał wielkie, umysł wrażliwy, uczył się poruszonym, zwłaszcza gdy Zbigniew, na skinienie arcybiskupa nieco pokorniejszą przybrawszy postawę, odezwał się głosem jakby litości się domagającym:

— Ludzie nas różnią, ludzie kłócą i rozrywają, bracie miły. Ja nie pragnę nic, tylko cię kochać i służyć ci wiernie. Nie widzą mnie oczy Wasze, ani moje Was, a pomiędzy nami stoją wrogowie, co czyhają na mnie sojusz czynimy wierny, wieczny, braterski i niech go ojciec nasz Marcin pobłogosławi!

Uderzył się silnie w piersi.

— Wiernym ci będę!

Po Bolesławie znać było, że już zmiękł, a po wojewodach, że się na tę jego łatwość przebaczenia i wiarę dawaną zdrajcy oburzali.

— Mazowsze ci puszczam, winy zapominam — odezwał się Bolesław. —

Przede mną wiele do zrobienia i przed tobą. Chcesz mi być sojusznikiem, chcesz, aby ludzie nie mogli stawać między nami, bądź przy mnie i ze mną, nie oddalaj się.

Twarz Zbigniewa dziwnie zadrgała i usta się zatrzęsły.

— Tego właśnie dusza moja pragnie — rzekł nagle — nic innego! Ja z tobą, z tobą bracie miły, dopóki mi żywota stanie! Gdzie każesz, kędy poślesz!

Rozpostarł ręce obie, uściskali się powtórnie, a starszek Marcin, płacząc z radości, błogosławił po cichu.

Stało się więc. Bolko nic więcej nie warując, oprócz ażeby zamki przeciw niemu wzniesione zburzone były, Mazowsze puszczał bratu.

Zgoda uroczysta zamknęła się ucztą wielką, podarkami i radością, której starszyzna tylko nie podzielała. Zbigniew wesołość i dobroduszość grał zręcznie, lecz ilekroć się zapominał, w oczach płonął nie dogaszony gniew.

— Ujrzycie niedługo — rzekł Skarbimierz do królewskiego biskupa — jako się nam wywdzięczy.

Wiedziano, czym zająć Bolesława i myśl jego odciągnąć. Duchowieństwo tegoż dnia przemówiło o poganach pomorskich, o wojnie za wiarę w kraju, w którym się dotąd bałwochwalstwo broniło, jak w ostatnim zasieku. Bolko zapomniał o wszystkim, układając na Pomorców wyprawę nową, do której nawet Zbigniew się do jego boku z gorliwością wielką obiecywał.

Arcybiskup Marcin, który raz o mało się w ręce poganom nie dostał i na strychu kościelnym szukać musiał strwożony schronienia, zachęcał Zbigniewa też do krzyżowej wyprawy.

Oba oni z Baldwinem też same odpusty i łaski obiecywali wojującym z dziczą, jak tym, co szli na zdobycie grobu Pańskiego.

# IV

Czarna jak przepaść niezgłębiona była noc jesienna. Królewicz, którego teraz i królem już zwano, bo sam jeden panował, z nikim nie dzieląc władzy, stał

obożem pod Wieleniem. Wojsko spoczywało znużone, ale czujność była wielka, nie zasypiała starszyzna. Bolko nauczył jej pilności tej, bo sam najpilniejszym był.

Ogniska przygasić nakazano, straże gęste chodziły po obozie, w namiocie pańskim ulubieńczy jego Skarbimierz i Żelisław dotrzymywali czuwającemu Bolesławowi.

Zniżonymi głosy rozmawiano po cichu.

Namiot królewski nie lepszym był od tych, w których starszyzna jego noclegowała. Na dworze swym lubił Bolko wystawę, ale wygodami w pochodzie, w obozie pogardzał. W jednej zbroi się kochał i ta najpiękniejszą, choćby najdroższą być musiała. W namiocie jego nie widać też było ani opon kosztownych, ani drogiego sprzętu wiewa, ani co by do rozpieszczenia się przy spoczynku służyć mogło.

Po kątach tylko porozrzucany błyszczał oręż wszelaki. Musiał król zawsze mieć zapaśnych zbroi kilka dla wymiany, bo sobie i pancerza nie żałował, a bez miary go na nim psowano, i lżejszego uzbrojenia podostatkiem, wreszcie coś na okaz i przyjęcie ludzi, gdy wystąpić potrzeba było okazałe. Tak samo mieczów do wyboru lik był wielki, a wożono je za nim, gdy na bitwę wychodził, aby zawsze miał świeże pod ręką.

Stali Skarbimierz i Żelisław przy nim, bez oka jeden, bez ręki drugi, oba bohaterskiej postawy ludzie, ale ich Bolko przechodził twarzy wyrazem, całą osobą swą, w której króla, pana, wodza i rycerza widać było. Nie takiego, co się nim okazać chce, aby mu się ludzie kłaniali, ale który z Bożej łaski, w pocie czoła, krwią się dorobił wielkości swej i mimo swej wiedzy wielkim jest. Powaga w nim była z prostotą, majestat z chrześcijańską połączony pokorą. Nieznany człek, spotkawszy go, uchylał głowę przed nim, wybranego czując.

— Miłościwy Panie — odezwał się Żelisław Złota Ręka — spocznijcie już.

Pora spóźniona. Bóg łaskaw, bezpieczni jesteśmy, nie napadnie na nas nikt w tę noc ciemną. Zbyt się troszczyć nie ma o co.

— Poślemy jeszcze czaty, ludzi dobornych, co wszystkie stanowiska obejdą

— dodał Skarbimierz Jednooki. — Spocznijcie, Panie, potrzeba Wam spoczynku.

— Spocznię, o, noc długa — odparł Bolko — ale wprzódy uczynię, co

postanowiłem. Drużynę wezmę i obóz z nią objadę, potem już legnę spokojny do dnia białego.

— Zbyteczne to — rzekł Żelisław.

— Lepiej zbyt się troszczyć niż za mało — rzekł król śmiejąc się. —

Drużyna czeka już na mnie, objedziemy okolicę, mam niepokój jakiś i trwogę.

— I ja pojedę z Wami — dodał Skarbimierz. Wtem opłotek namiotu uchyliło chłopię i oznajmiło:

— Stoi drużyna i pogotowiu czeka.

Ruszył Skarbimierz kazać sobie podać konia. Król zbroję poprawił, hełm włożył, płaszcz mu na ramiona rzucono, na miecz, który przypiął, popatrzał i wyszedł przeżegnawszy się z namiotu.

Noc straszliwie ciemna była, deszcz poproszał drobny, wilgotny wiatr kiedy niekiedy przesunął się po obozowisku, na szałasach poruszając gałęzie.

Wyszedłszy król ucha nastawił, rękę doń przykładając.

— Słyszysz? — odezwał się do Żemły.

— Nic, jeno obóz, który zawsze tak dysze, gdy usypia — odpowiedział

zapytany.

— Nie, nie tak on dysze — rzekł król — oddech ten znam! Słysząc z dala tętent powolnie idących koni.

— To stado nasze na paszy — rzekł Żemła.

— Słyszę ja i stado — mówił król, potrząsając głową — tętent to inny, mierzony, zgodny.

Niespokojnie się obejrzał po swoich,

— Na konie! — rzekł stłumionym głosem. Ręką wskazał i sam ruszył

przodem.

Zaledwie kilkadziesiąt kroków oddalili się od namiotów, gdy w głębi gdzieś nocnej wyraźnie usłyszeli stąpanie koni, stłumiony brzęk żelaza, jak gdy się miecz z boku jadąc potrząsa, i niby gwar jakiś głuchy. Król podniósł się na koniu i ucha nastawił.

— Pomorce idą na nas — zawołał — za mną! Na nich! Zaledwie się puścili z miejsca, gdy już na krańcach obozu wśród ciszy nocnej odezwały się krzyki, zabrzęczały i świsnęły dobyte miecze. Pomorcy wtargnęli między namioty i szałas.

Orszak królewski cwałem się rzucił w tę ciemność czarną jak otchłanie.

Szczęściem konie znały i czuły drogę, mijały ogniska i barłogi, i dopadli na kraj obozowiska, gdy znaczny, jak się domyślać było można, oddział napastników, na szałas się wdarłszy, zaczął

uśpionych tratować i mordować zbudzonych.

Ogromna wrzawa rozległa się po całej dolinie. Ludzie przerażeni zrywali się z pierwospów nieprzytomni. Koni nie było pod bokiem, zbroi i broni omackiem szukać musiano, zamieszanie straszliwe szerzyło się z trwogą razem.

Lecz Bolko już na karkach Pomorcom siedział, którzy wcale się nie

spodziewając tej gotowości do boju, a ujrawszy nieprzyjaciela zbrojnego, natychmiast cofnęli się i uchodzić zaczęli przelękli, sądząc, że wpadli w zasadzkę.

Mały oddział królewski rozdarł się na dwie połowy, aby z dwu stron razem na nieprzyjaciela uderzyć. Noc sprzyjała obronie, bo liczby szczupłej Pomorcy nie mogli zobaczyć. Strach ją podwajał. Uchodzili napastnicy, a lud tymczasem wybiegał z szałasów, chwyciwszy, co znalazł naprędce, i w pogoń spieszył

poczuwszy, że nieprzyjaciel uchodzi.

Przed chwilą w śnie pogrążony obóz zakipiał, zawrzał, a starszyzna wprędce gotowa leciała pędem na pomoc Bolesławowi. Sam on ze swoją drużyną ścigał

uciekających z tą wściekłością, która go w boju opanowywała i której nic pohamować nie mogło.

Skarbimierz musiał, zaskoczywszy przed konia, za cugle pochwycić i gwałtem niemal wstrzymać od dalszej pogoni, która na zasadzkę niebezpieczną zaprowadzić mogła. Bolesław gniewny na niego ledwie się dał ubłagać, aby do obozu zawrócił.

Tu zaraz po rozsypce Pomorców pospiesznie zaczęto przygasłe rozniecać ogniska, obóz ciemny wprzód zaświecił czerwonymi dymy i płomykami, około których żołnierstwo się niespokojnie gromadziło. Choć niebezpieczeństwo już przeszło, zbroili się co prędzej ludzie, inni konie z pastwisk pędzili i uzdali. Krzyk, wrzawa, ale razem radość wielka ze zwycięstwa niespodzianego rozlegały się szeroko. Noc nagle dniem się niemal stała. Wszystko było już pogotowiu do walki i wyzywało do niej.

Bolko znużony, hełm zdjawszy, wracał ku swoim namiotom, gdy

Skarbimierz, który za nim pozostał był nieco, nadbiegł zapowiadając, że jeńca jakiegoś wziętego Pomorcom prowadzono. Wedle wszelkiego podobieństwa miał

to być któryś z dowódców wyprawy. Za nim kilku ze starszyzny także zabrano.

Król tak był rad temu, że czujnością swą zbawił wojsko od klęski, a siebie od sromu, że o niczym nie myślał, prócz by Bogu za Jego opiekę dziękować. Jak świt kapelan miał mszę dziękczynną odprawić.

Po drodze spotykający pana żołnierze witali radosnymi okrzykami, śmiejąc się i podnosząc do góry zapalone gałęzie smolne, aby mu przyświecić.

— Bóg miłościw z nami! — wołano wedle zwyczaju.

— Bóg z nami! — wtórowały gromady. Przeprowadzony przez swoich

wiernych wszedł król do namiotu, a za nim pacholę, które spieszyło, aby zbroję porozpinać i od ciężaru go uwolnić. Na hełmie znać było cięcie jedno, które się po nim ośliznęło, na piersi też zgięta była zbroja od uderzenia oszczepem, lecz Bolko nie czuł się rannym, nie wiedział nawet o tych razach i rozpromieniony weselił się, szydząc z tych, co mu wycieczkę odradzali.

Do namiotu ściągając się za nim poczęli dowódcy, wszedł i Żelisław. Złota Ręka, lecz nagniewany i chmurny. Z twarzy jego Bolko, który go znał dobrze, wyczytał troskę jakąś i niepokój.

— Cóż ty mi przynosisz? — zapytał.

— Niesmaczną rybę, którąśmy po nocy złowili! — zawołał Żelisław. —

Bodajby z nią raz był koniec przecie.

— Jaką rybę? Coć jest? — pytał król.

— Ujęto w całej zbroi rycerza, który się zrazu rozpaczliwie chciał bronić, a nie zdołał. Ten to jest, który tu Pomorców prowadził.

— Przemko? Czy zdrajca Gniewomir, któremum był ojcem chrzestnym? —

spytał żywo Bolko. — Który z nich?

— Gorzej niż jeden z tych dwu — odezwał się Żelisław. — Boża prawica dała nam go w ręce, a dziś i o. Marcin nie będzie za nim śmiał rzec słowa!

Rzucił się król.

— Co mi prawisz zagadki!

— Zbigniewa, nie kogo innego, na czele Pomorców uciekającego wzięto do niewoli.

Król osłupiał, opadły mu ręce, wszyscy z podziwienia krzyknęli.

— Możeż to być? — odezwał się Bolesław. — Niedawno mi uroczyście przysięgał!

— A dziś go ujęto jako zdrajcę, godzącego na nas i na życie Wasze — rzekł

Żelisław. — Mamy go w ręku, szkoda, że żywym.

Bolkowi jak by łza zakręciła się w oku, szlachetne serce czuło litość nad tak nisko upadłym człowiekiem. Obstąpili króla dowódcy.



— Życie niech da! Dosyć tego! — począł Żelisław.

— Miłościwy Panie — dodał Skarbimierz — jeżeli mu i teraz przebaczycie, a puścicie go wolno, rzeczymy wszyscy, że nie ma u króla sprawiedliwości! Cóż będzie dla dobrych, gdy dla złych jest takie pobłażanie!

— Wszyscy my, ilu nas jest — dodał inny — domagamy się nań kary. Dość krwi nas kosztują, oślepić go albo niech szyję da. Nie ma z nas jednego, co by mu rany jakiej nie był winien, a wielu poginęło przez niego!

I wszyscy zgodnie poczęli wtórować:

— Zgubić to złe zielsko! Nie żywić go, niech ginie! Bolko słuchał zasepiony.

— Do jutra, do rana — rzekł krótko.

Spojrzeli nań dowódcy, na twarzy malował się frasunek. Odprawił ręką przybyłych, a gdy wyszli, pokląkł na modlitwę i słyszano, jak jęczał, trwając na niej długo. O świcie msza święta z dziękczynieniem odprawić się miała, czekano na nią i nikt o śnie nie myślał. Gwarzono o osobliwej tej nocy przygodzie.

Dnieć nareszcie poczynało. Że deszcz prószył ciągle, ołtarz podróżny wystawiono pod namiotem, odchyliwszy ze wszech stron ściany, aby wojsko dokoła stojące celebrującego widzieć mogło. Król pokląkł i na kolanach mszy całej słuchał pobożnie. Śpiewano potem pieśń, odmawiano modlitwy, obrzęd się nierychło skończył.

Około króla gromadziła się starszyzna niespokojna, szczególnie rycerstwo krakowskie, które Zbigniewowi zdradę jego i nikczemności przebaczyć nie mogło.

Czekano tylko, aby Bolesław powstał, gotując się nań nalegać o przykładowe ukaranie jawnego winowajcy.

Skarbimierz i kilku innych znikło i nie pytając o rozkazy kazali więźnia prowadzić przed pana. Srogi był widok tego człowieka idącego z wilczym wzrokiem, z twarzą trupią, bladą, z usty zaciętymi, ociągającego się, przerażonego, mściwej, bezsilnej złości pełnego. Miał jeszcze na sobie zbroję, w której go pochwycono, bo mu jej zdejmować nie dano. Po bokach za nim i przed nim szli pachołkowie z oszczepami i ci, co go uchodzącego pochwycili. Pochód przez obóz już dlań był karą. Ścigano go obelgami, urągówiskiem, przekleństwami, Śmiechami, podchodzili doń żołnierze, pięści mu do twarzy podnosząc, znęcano się nad nim bez litości. Gdyby nie ludzie, co go otaczali, padłby pewnie ofiarą zajadłych i rozwścieczonych.

Gdy się ukazał we drzwiach namiotu, Bolko spojrzał nań oczyma gniewnymi.

— Śmierci godzien jesteś — zawołał — śmierci, przechero! Dawnoś to o łaskę prosił i przysięgał?

Zbigniew coś bełkotał, czego dosłyszeć nie było można.

Wszyscy zamilkli czekając, ażali co odpowie. Zaczął wreszcie niepewnym głosem:

— Głupi ludzie! Mnie, ja, w pogoni chwycono! Goniłem z nimi! Cóż za wina! Goniłem!

Skarbimierz, nie mogąc znieść bezczelności tej, przystąpił doń wściekły i trzęsąc się z gniewu.

— Jak śmiecie to mówić! — krzyknął. — Ujęto Was, gdyście zagrzewali uchodzących do powrotu, z pośrodku Pomorców! Broniliście się naszym, cięliście jednego!

— Kłamstwo! Potwarz! Złość, oszczerstwo bezecne, podłość! — począł, ośmielając się coraz, Zbigniew, który patrząc na brata odwagi nabierał. — Chciano mnie zgubić! Podstęp jest!

Stojący za nim poczęli krzyczeć oburzeni, podnosić ręce groźnie i odgrażać się. Bolko rozkazał im milczenie; i skinął, aby się rozstąpili. Nie odpowiedział

jednak nic, wzgardziwszy kłamstwem oczywistym.

Z dala podnosiły się głosy, zrazu ciche, potem coraz huczniejsze:

— Śmierć zdrajcy!

— Na gałąź z nim!

— Oczy mu wyłupić! Zburzenie było niezmierne..

— Czy to syn króla, czy niewolnika — zahuczał ktoś z dowódców — jako zdrajca winien jedną ponosić karę. A co zdrajcom bywa? Niech trzy razy ze psem na ręku obejdzie targowicę, niech mu oprawca utnie brodę i precz z nim z ziem naszych, a gdy wróci, na pień głowa\*.

Inni wprost wołali:

— Śmierć mu! Śmierć!

Bolko stał z oczyma w ziemię wlepionymi. Zbigniew zaognionym wzrokiem oglądał się dokoła. W chwili, gdy wrzawa ustała nieco, począł wołać:

— Na Sąd Boży się zdaję! Sąd Boży! Oczyszczę się! Niewielu nawet ze starszyny znało obyczaj ten zachodni Sądu Bożego. Król, jako należący sercem do rycerstwa, szanował wszystkie jego prawa. W takiej walce dla oczyszczenia się tkwiła myśl, iż Bóg niewinnemu w pomoc przychodził. Znaczniejsza część dowódców śmiechem powitała to żądanie, ale król się odezwał:

— Kto przeciwko niemu wystąpi na Sąd Boży?

Spomiędzy starszyny nikt ani myślał mierzyć się ze zdrajcą i człowiekiem pogardzonym. Prosty żołnierz Bondrych wyrwał się z gromadki opodal stojącej.

— Ja pójde! — zawołał, podnosząc rękę.

Człek był szczuplejszy, mniejszy, słabszy nawet na pozór od rozrosłego, opasłego, grubych kości i silnych członków Zbigniewa, ale z twarzy jego widać było żołnierza, zajadłą taką pijawkę, co gdy się komu przypije do boku, już go nie puści. Spojrzawszy nań i na Zbigniewa, ze wzrostu i siły księciu było można łatwe wróżyć zwycięstwo. Sam on tylko zwątpił widać o sobie, by wyzwawszy na Sąd Boży, z przyjęciem go się ociągał. Śmiechy i przedrzwiewania słyszeć było szyderskie wkoło, co go jeszcze onieśmiało.

Zwyczajem było, że kto stawał na Sąd ów czy przez walkę, czy przez żelazo gorące lub inną próbę jaką, wolno mu było wprzód spowiadać się i przystąpić do ołtarza. A że Bolko pobożnym był, gdy Zbigniew, chcąc na czasie zyskać, mruknął, iż o księdza prosi, skinął, by kapelana wezwano.

Pilnowano go jednak, obstąpiwszy ciasno dokoła, w obawie, aby konia dopadłszy z rąk się im nie wydarł. Na krok nie odstępowali pachołkowie, a za nimi tuż dozorując szła starszyzna, nie puszczając jeńca z oka.

Bondrych też do spowiedzi oświadczył się gotowym.

Smutny i zgryziony powrócił król do namiotu. Czuł, że od niego wszyscy się będą domagać kary, a krwią braterską, choć ten winowajcą był, mazać się nie chciał. Na duszy bolał i smucił się.

Ksiądz tymczasem przybył i zasiadł do wysłuchania spowiedzi. Nim ją rozpoczął Zbigniew, wiedząc, jaki wpływ na króla mają duchowni, próbował ująć kapelana obietnicami wielkimi, groźbą skargi do arcybiskupa, prośbami wreszcie i zaklęciami. Ksiądz zbył go zimno odpowiadając, że spowiedzi słuchać przybył, a

\* Kara ta starosłowiańska, w Czechach była naówczas w obyczaju. (Przyp. autora.) nie sprawy, która doń nie należała. Natenczas trwoga opanowała Zbigniewa, który ledwie mógł się zebrać na odpowiedź i bezprzytomny odszedł po rozgrzeszeniu.

Czekano już nań. Bondrych stał w gotowości, cały we zbroję odziany, w hełmie, z włócznią długą, konia trzymając w ręku. Drugi tuż stał pod Zbigniewa.

Tłum ogromny cisnął się dokoła. Ponieważ na dworze i w wojsku turnieje na tępe włócznie i inne rycerskie zapasy często się odbywały, do tego starcia też umiano wnet wszystko przysposobić, jak było potrzeba. Zabito koły, zaciągnięto sznury, aby miejsce opasać i uczynić wolnym. Dwu woźnych stanęło po bokach dla strzeżenia, aby walka odbywała się bez podstępu i wedle obyczaju.

Zbigniew widomie ducha stracił, z oczyma spuszczoneymi czekał

wpółmartwy. Włócznie jedną, którą mu podano, odrzucił, przyniesiono drugą, i ta była mu nie do ręki. Po długim wzdraganiu się trzecią nareszcie ujął. Koń mu się wydał niedobrym, przyprowadzono innego. Rachować się zdał na coś, oczekiwać, zwlekać, próbując, czy się sprawa w inny sposób nie rozwiąże. Spozierał wkoło, nie jawiło się nic, czas upływał.

Bolko, aby lepiej walce się przypatrzeć, stanął też za szrankami konno u boku.

Woźni po trzykroć znak dawali. Przeżegnali się oba walczyć mający,

Zbigniewowi ociężałemu pachołkowie konia dosiąść pomagać musieli. Bondrych pierwszy w szrankach zajął swe miejsce i czekał na przeciwnika. Leniwie zwałół

się księżę na stanowisko. Po raz czwarty woźni okrzyknęli, dając znak uderzenia.

Puścił się Bondrych z włócznią podniesioną na Zbigniewa, który swoją też dźwignął nieco i konia ubódl ostrogą. W pierwszym tym starciu uderzył Bondrych księcia we zbroję. Zachwiał się dotknięty, ale że ciężki był i silny, w siedzeniu się utrzymał, włócznią swą nawet nie trafiwszy przeciwnika. Że włócznie obie całe pozostały, rozjechali się z nimi, aby po raz drugi uderzyć na siebie.

Niebezpieczeństwo jawne zmusiło nareszcie księcia do obrony. Życie

ratować musiał. Puścił się pędem wielkim, lecz w drodze natknął się na włócznię Bondrycha, która górą idąc hełm mu z głowy zdarła. Od ciosu tego zachwiał się jeździec, koń pod nim spał i Zbigniew na wznak runął na ziemię.

Okrzyk ogromny rozległ się dokoła. Nim Bondrych miał czas nań

poskoczyć, Zbigniew porwał się wylękły i za miecz chwycił. Starli się teraz pieszo.

Walka była nierówna, bo księżę do robienia żelazem nigdy nie miał zręczności, siłą tylko namagał. Ciał po hełmie przeciwnika i do drugiego razu się zamierzał, gdy ten tak silnie w ramię prawe go uderzył, że Zbigniew zachwiał się ośliznął i padł na ziemię. Bondrych już mu na piersi oparł kolano i mały mieczyk od boku dobywszy, zabierał się pchnąć go między blachy zbroi, gdy Bolko krzyknął, iż walki dosyć było, aby Sąd Boży się objawił. Woźni rzucili laskami na znak, że się sprawa skończyła.

Zbigniew z głową obnażoną, oczyma krwią nabiegłymi, leżał, rękami

grzebiąc w piasku i usiłując się dźwignąć. Wołał głosem rozpaczliwym:

— Życiem daruj! Okup dam!

Z pogardą i wstrętem odwrócili się wszyscy od niego. Bondrych puścił go rad nierad, mieczyk do pochew chowając. Bolko skinął nań, aby się przybliżył, i wzięwszy łańcuch od Skarbimierza, na szyję mu go zarzucił.

Pachołków potrzeba było znowu, aby z ziemi podnieść wylękłego i

potłuczonego Zbigniewa, który o niczym już nie myślał, tylko by jakimkolwiek kosztem ocalić życie. Właśnie gdy się to działo w szrankach, Bolkowi gońce wysłani na przepyty wrócili i przywieźli z sobą pochwyconego człowieka.

Prowadzono go przed króla. Zbigniew podnosząc się zobaczył jeńca i zdjęty trwogą nową trząść się

począł cały.

Przy wysłańcu tym, który do drużyny jego należał, znaleziono w kaftan wszyty kawałek karty pargaminowej, list pod pieczęcią książęcą. Przywołany kanclerz odczytał go Bolkowi. Zawarte w nim były skazówki dla nieprzyjaciół, jak i gdzie na króla napaść mieli. Dowody zdrady, gdyby jeszcze potrzebne były, mnożyły się cudownie dla potępienia Zbigniewa. Trzymając kartę w ręku, kazał

Bolko przywieść brata przed siebie, a gdy się wybladły zbliżył, potrząsał nią nad głową jego i rzucił z gniewem pod nogi.

— Wzywałeś Sądu Bożego świętokradzko — zawołał — gdy jawna jest niepoczciwość twoja! Bóg i ludzie cię osądzili!

Wtem dokoła z wrzaskiem zawołano po kilkakroć:

— Głowę dać winien! Nie żywić go, zabić! Zabić!

Jak nieprzytomny, chwiejąc się na nogach, stał Zbigniew, nie odzywając się już. Karta jego własna świadczyła, że z Bożego Sądu uczynił igraszkę. Na gardło mu godzono, siły w nim omdlewały, wołanie krwawe w uszach tętniało, zdając się co chwila grozić śmiercią.

Król stał gniewny, lecz zarazem hamując się widocznie. Ci, co go znali, po ruszających się z wolna wargach poznali, iż modlitwę odmawiał, którą mu zalecił

był kapelan, gdy nim niepomierny gniew owładał.

Zdrajca strwożony pokląkł, a raczej upadł na kolana przed nim. Wyciągnął ręce.

— Bracie! Jedna krew w żyłach naszych płynie, zlituj się nade mną dla pamięci ojca! Życie mi daj! Pójdę stąd precz, nie chcę nic! Bierz wszystko, zostaw życie!

Mówił to głosem jęklwym, lecz głuszyli go stojący tuż Żelisław i inni, wołając:

— Nie będzie zdradom końca, dopóki on żyw! Zadławić go! Śmierć! Śmierć przecherze!

Im król w większej stał niepewności i skłonniejszym się zdał do zmiłowania, tym starszyzna głośniejsz się burzyła.

— Nie obronim ziem naszych — mówił Skarbimierz — puście go, to się do Czech powlecze spiskować ze Światopługiem, pójdzie wichryć na Węgry, do cesarza. Nie będzie pokoju nigdy! Zwyciężony, poskromiony, ściąg go dać!

— Oczy mu wziąć! — wołali litościwsi.

— Zamknąć go do ciemnicy na zawsze.

— Na gałąź ze zdrajcą!

— Na pień z nim!

Buchały dokoła takie gniewy, taka namiętność, że król nie mógł wyrzec słowa, głuszono go. Czekał, aby się wyburzyła złość, i skinął, aby Zbigniewa odprowadzono do namiotu Żelisława.

Ciągnięty przez pachołków, chciał się ku bratu rzucić Zbigniew, lecz Bolko cofnął się żywo i nie patrząc nań poszedł ku namiotowi. Gromadą wszyscy za nim pociągnęli.

Pięć lat ciągłych zdradzieństw i niepokoju przyprowadzały ich do rozpacz; wszyscy dowódcy domagali się kary, wojsko całe z krzykiem im potakiwało.

Nocne owo najście z Pomorcami najskłonniejszych nawet do powolności oburzało.

Tłumem otoczono Bolka powtarzając:

— Nie żywić go!

— Bondrych, nie pytając, gdy go w mocy swej miał, dobić był powinien.

Bolko miał czas nieco ochłonąć. O zdradzie powątpiewać nie było podobna, jawną była, a jednak litościwe serce na krwi braterskiej przelanie się wzdrygało.

Pot lał mu się z czoła, walczył z sobą znękany.

— Czas mi dajcie do namysłu — odezwał się, ręką wskazując wyjście. —

Chcę być sam!

Wiedzieli wszyscy, co to znaczyło; rycerskiego ducha, ale nie okrutny król, gdy krew inaczej jak w boju przyszło przelewać, nigdy nie wydał wyroku bez porady ojca duchownego. Żadnego z biskupów nie było pod ten czas w obozie, krom jednego prałata, Francuza rodem, ojca Septyma, człowieka wielkiego rozumu i nauki, lecz niepomiernej surowości. Szanował go król na równi z biskupami i nie wątpiono, że mu jedna ze stolic się dostanie. Domyślili się wojewodowie, po co szedł dworzanin królewski, i na drodze na ojca Septyma oczekiwali. Obstąpili go przybywającego.

Skarbimierz pierwszy doń przystąpił.

— Znacie — rzekł — ojciec mój, wiecie, co się u nas dzieje. Król się waha i skłania do przebaczenia. Radzić się Was będzie, nie doradzajcież mu, aby dla łotra tego łaskawym był, a dla siebie okrutnym.

Ojciec Septym milcząco po nich poglądał. Ujął w ręce czarną suknię swą i ukazał ją mówiącemu.

— Widzicie — rzekł — kapłanem jestem, surowości doradzać nie mogę. Nie godzi mi się. Wiecie, co napisano o przebaczeniu nieprzyjaciołom. Przeciwno słowu Bożemu żadna ludzka mądrość nie waży. Uczynię, com powinien. Wyście ludzie żelaza, jam człowiek miłosierdzia.

— Litujcież się nad ziemiami tymi, na które dzikiego zwierza wypuścicie! —

zawołali otaczający.

Ojciec Septym, nie mówiąc nic, ręką ich przeżegnał i poszedł do króla, który u wnijscia do namiotu stał, oczekując nań z niecierpliwością.

— Ojczy miły — zawołał — uspokójcie sumienie moje. Domagają się na

brata mojego śmierci wszyscy. Zdrada jawna, wina wielka, ale bratem mi Jest, krew ojca w nim płynie, mazać się nią nie chcę, Kaimem być nie mogę. Co czynić?

Co czynić mam?

— Co każe sumienie — odparł o. Septym. — Rozum ludzki głupi jest, a sumienie rozumne. Czyń, co ci Bóg natchnie. Surowym każe ci być dla winnych, ale przebaczenie obłąkanym zaleca. Do łaski go przywracać, ziemie mu nadawać byłoby niebezpieczeństwem, ale życie ocalić godzi się. Cóż on sam, bezbronny, wygnany uczynić ci może?

— Spiskować będzie z nieprzyjacioły — rzekł król.

— A bez niego będąż oni przyjaciółmi twymi, panie? Przyniesież on im siłę?

— spytał kapłan.

— Radzicie mi i polecacie miłosierdzie — odezwał się król, oddychając lżej i z radością na twarzy, całując księdza w ramię. — O, ulżyliście mi ulgą wielką, wy jedni odezwaliście się po Bożemu! Niechaj żyje, niech idzie, gdzie chce! Dziękuję wam!

Ojciec Septym uśmiechnął się, patrząc na króla i głowę przed nim skłonił.

Siedli oba na dłuższą rozmowę. Dokoła namiotu przechadzający się wojewodowie czekali niecierpliwi i gniewni, spoglądając ku wnijsciu. Trwało to dosyć długo, gdy pożegnany w progu wyszedł nareszcie Francuz, a król z twarzą rozjaśnioną ukazał

się, podnosząc zasłonę. Przystąpili doń oczekujący, z oblicza już wnosząc, że nie po ich woli się stanie.

Zwrócił się król do Skarbimierza.

— Wojewodo mój — rzekł — nie miej żalu do mnie, czym Bóg mnie

natchnął, to uczynię. Nie przystało Wam nalegać, abym okrutnym był. Z życiem niech idzie precz. Do

granicy niech go wiodą i wyżeną.

Szmer powstał i wzburzenie między słuchającymi, nie śmiał jednak nikt głosu podnosić.

— Jest w mocy mojej — dodał król z powagą, która już żadnego oporu nie dopuszczała. — Wola moja taka. Życie my daję. Tak niech będzie.

Ucichło, smutek oblókł twarze. Milczenie trwało chwilę.

— Wy, miły mój — zwrócił się król do Skarbimierza — oznajmicie mu wolę moją. Dacie do granicy ludzi bezpiecznych, aby mu się nic nie stało.

— Ku jakiej granicy? — spytał powołany.

— Niech idzie, gdzie chce! — dodał król.

Zaszemrano znowu, król spojrzął bacznie, ucichli.

Skarbimierz poszedł do namiotu, w którym więźnia trzymano, i powrócił

wprędce, bo długo z nim obcować nie chciał. Zbigniew się domagał bratu za życie dziękować.

— Ani podziękowania, ani zgody, ani widzieć się z nim nie chcę — rzekł

król.

Zapytany, czy miał prawo ludzi zabrać z sobą i ze skarbca część jaką, Bolesław rozkazał drużyny mu nie przeczyć i skarbiec oddał cały.

— Niechaj ma z czego żyć — dodał — lecz niech uchodzi stąd z mieniem, aby mi nie przekupywał ludzi i nie wiódł ich na pokuszenie.

Tak się skończyła sprawa Zbigniewa, ocalonego, gdy o życiu już wątpił, miłosierdziem pobożnego brata.

Skarbimierz, któremu polecono spełnienie woli pańskiej, nie dopuścił gości długo Zbigniewowi w obozie. Z kilką ludźmi odprawiono go natychmiast ku granicy czeskiej, skarbiec i drużynę wysłać za nim obiecując.

Z trwogi, co go bezprzytomnym prawie czyniła, Zbigniew natychmiast

prawie przeszedł do nadzwyczajnej radości i szału, odzyskał dumę, szyderski śmiech i postawę dumną. Nie śmiał się odgrażać jeszcze, lecz wejrzenie jego mówiło, jakie miał myśli i zamiary. Jechał do Czech, gdzie pewien był gościnnego przyjęcia, wiózł nienawiść swą, jaką taką znajomość i kraju i położenia i nieubłagane zemsty pragnienie. Na chwilę nie wątpił nikt, iż oswobodzony knować będzie, szukać środków odzyskania, co utracił. Oprócz Czechów, cesarski dwór, na który chronili się wszyscy wichrzyciele i pretendenci, mógł mu dać schronienie.



Powracający od granicy ludzie, co go przeprowadzali, mówili, że im pięścią ściśniętą groził, obiecując prędkie przybycie.

# V

Jak do dźwigania wielkiego gmachu granitowych słupów potrzeba, tak na czasy ciężkie bark ludzi kamiennych, którzy by się pod nimi nie ugięli. A były to czasy, w których nikt pokoju nie zażył, chyba nocą, na świeżym pobojuwisku.

Gdzie spojrzeć było, nieprzyjaciel stał, a przyjaciel i sprzymierzeniec dzisiejszy jutro się na wroga zamieniał. Na te dni czuwania nieustannego mężem przeznaczonym był Bolko i ludzie ci, co przy nim nauczyli się być mu podobni.

Pomorze wojowano i zawojowywano a nazajutrz ochrzczeni poganie

występowali przeciwko ojcom chrzestnym. Tak ów Gniewomir szedł na Bolesława, aż póki go jako zdrajcę kijmi nie ubito. W Czechach rządził bojowniczego ducha, jednooki Światopług, do którego Zbigniew się schronił. Z jego oddziałami wpadł

zdrajca na Szląsk, zgromiony uciekał, lecz spokoju nie dawał. Nie wojnę z nim, lecz nieustanne napady cierpieć musiano, za które wzajemnymi płacił Bolko, ogniem i mieczem pustosząc pogranicze.

Poprzednik cesarza Henryka V, który wyzuwszy z władzy ojca własnego, koronę jego odziedziczył, w gniewie na Polskę dał to królestwo, którego nie miał, czeskiemu królowi. Wkrótce potem odebrał mu je, choć do rozporządzania nim nie miał innego prawa nad urojoną zwierzchność nad całym światem. Cesarstwo rościło sobie do Polski, że mu winną była dań i posłuszeństwo. Szczęściem Henryk V, jak jego poprzednicy, Włochy, Niemców, Sasów i Bawarów miał ciągle na barkach. Podnosili się oni tak przeciw niemu jak on niegdyś na ojca. Musiał też papieżów stanowić i składać, a z klątw kościelnych, którymi był okryty, się wyzwalać. Nie miał więc czasu iść na Polskę. Teraz dopiero pora nadeszła dopominania się u niej posłuszeństwa.

Zbiegły do Czech Zbigniew, niewiele się tu mogąc spodziewać, z Pragi udał

się do cesarza Henryka V, jak inni ofiarując mu daninę, podległość, zapłaty, byleby mu do korony dopomóżono. Za pieniądze naówczas kupowano u cesarza

królestwa, za czeskie zapłacił był wprzód Borzywój, Bolka sprzymierzeniec, potem Światopług dziesięć tysięcy grzywien, które zdarł z Żydów, z ludu, z duchowieństwa, tak że w Pradze potem kawałka srebra ni złota nie pozostało i wypłacić mu się było niepodobna. Na Zbigniewa przyszła kolej, jeżeli nie płacić, to obiecywać grzywny za polską koronę.

— Idź, Miłościwy Panie, na Polskę — mówił zbieg — idź, a pobijesz ją łącno. Lud cały nienawidzi Bolka, rad będzie się spod jego żelaznej rękawicy wyzwolić. Pójdą Wam w pomoc Czechy, mam i ja tam swoich, którzy na dany znak do nas przybiegną. Padnie jak owoc dojrzały cała ta ziemia w ręce Wasze, ja wiernie z niej służyć będę cesarstwu.

Nie miał jeszcze spokoju z Pomorzem Bolko i oblegał Nakło, gdzie cudowne w dzień świętego Wawrzyńca odniósł zwycięstwo nad rozpaczliwie i zajadle broniącymi się poganymi, trupem ich

ścieląc kilkadziesiąt tysięcy, gdy już znużonemu bojem panu gońce wieść przynieśli, że cesarz Henryk V, z czeskim Światopługiem i Zbigniewem, z siłami wielkimi ciągną na niego. Zbigniew był głównym podżegaczem, wywdzięczał się za dane mu życie.

Wojsko zwycięskie, choć miało ducha, potrzebowało pokrzepić się

spoczynkiem, wojna nowa wymagała czasu do przygotowania. Nie tyle może potęga cesarza, jak urok jego imienia był straszny. Zdało się, że ostatnia wybiła godzina, ale Bolko miał Skarbimierza i wierną swą drużynę, nie uląkł się też i nie ugiął.

Cesarz z drogi, wysłał listy do króla. Nazywał go w nich tylko „żołnierzem swoim”, jakby wasalem i hołdownikiem, żądał wojska w pomoc lub trzechset grzywien rocznej daniny, a działu ziemi dla Zbigniewa.

Gdy listy te na zebranej radzie przy królu ksiądz kanclerz odczytał, zuchwałe a dumne, dla ustraszenia i wyzwania napisane, stali długo niemi wojewodowie, Skarbimierz, Magnus i inni. Król marszcząc brwi patrzył po nich. Rany się jeszcze po Nakle nie zagoiły i ręce nie wypoczęły.

Milczała rada, bo dla odwrócenia tej groźby nie wiedziała, co poczynać, a niejeden w duchu może powiedział sobie: — Zagodzić sprawę i grzywny zapłacić!

— Miłościwy Królu — przemówił Spicymierz stary — czy to ludziom nie wiadomo, jak się z cesarzem załatwiają sprawy? Kupił ci go był Borzywój, a przekupił Światopług, kupowali go sobie inni. Za pieniądze u Niemca dostanie wszystkiego, zgody nawet i pokoju. Zręcznego człeka posłać, kilka tysięcy grzywien znajdziemy w domu, zatknjemy mu gębę i Zbigniewa zdrajcę porzuci.

Oburzyli się inni, potrząsając głowami.

— Takżeśmy to już zrozpaczyli o sobie? — odezwał się król, oglądając dokoła.

— Cesarz — rzekł Spicymierz — cesarz ci to jest! Niemców ma wszelakich z sobą, Włochy i lud różny, Sasów, Franków, Bawarów, Czechów, a myśmy sami jedni, bo Ruś, choćby chciała, nierychło nabieży. Koloman też mało albo nic nie pomoże.

Inni radzili do Zbigniewa słać za pośrednictwem arcybiskupa, znowu mu ofiarując Mazowsze. Drudzy do Światopługa chcieli się udać, sprawy Borzywoja się wyrzekając, którego król na tron prowadził. Rady były rozmaite. Nie stało już w Czechach możnych Wrszowców, którzy by się teraz byli przydali królowi. Ostatni z nich zbiegli do Polski, a innych krwawo, nielitościwie wyrzezano. Za przekupieniem cesarza najwięcej obstawało. Król słuchał, bawił się pasem swojego miecza i milczał.

Z twarzy mu mogli wyczytać, że ani się wykupywać nie zechce, ani ukorzyć.

Gdy wszyscy się uciszyli, podniósł głowę i głos zabrał Bolko.

— Mili panowie moi — rzekł — wojsku cesarskiemu i czeskiemu wstępnym bojem nie podolamy.

Ale czyż tylko na ten jeden sposób wojować można?

Nauczyl nas Pomorcy, a i dawniej nieraz bywało za króla Bolka Wielkiego, żeśmy się obraniali, jako psi niedźwiedzia z boków urywając nieprzyjaciela. Rozumny molos ani niedźwiedziowi z przodu na pazury, ani dzikowi pod kły nie idzie; chwyta go i drze, kędy może. Tak i my uczyniemy z cesarskim niedźwiedziem. Na wielki bój mało nas, na doleganie napastnikowi siła. A oto i jesień kroczy, a kraj im obcy. Niech idą, niech próbują, a do głębi się wcisną, zobaczymy, co czynić mamy.

Lasy i błota sprzymierzeńcami nam będą. W Bogu nadzieja, nie pożyją nas, a ujdąli z życiem, niech się z tego cieszą.

Skarbimierz jeden zamruczał: — Święte słowa! — inni frasobliwie

spoglądali.

Król trwał w swoim bez namysłu. Na razie kanclerza wezwać kazał i list na list odpisać tym samym zuchwałym duchem, jakim wyzwanie cesarskie pisane było.

„Chcecie daniny albo ludzi naszych wojennych jako daniny? Przeczcie to i zacz dawać mamy? Aliści i baby się nawet bronią, gdy je napastują, cóż dopiero mężowie? Zdrajcy, co spiski knował, nikt mi nie narzuci ani siłą mi go może wprowadzić na ziemię moje. Pieniędzy i żołnierzy nie Wam, ale dla sprawy Kościoła Rzymskiego dałbym zaprawdę, ale nie z nakazu i pod grozą. Zechcesz wojny, będziesz ją miał.”

Wieść chodziła po świecie, a duchowni naówczas przez swą bracie zewsząd mieli posłuchy, że cesarz, odpowiedź tę odebrawszy, z gniewu wielkiego straszliwie się zaklął, iż choćby nie wiedzieć wiele ludu miał stracić, pomści zuchwalstwo i do posłuszeństwa przymusi.

Bolko się już nie spodziewał czego innego, tylko wojny; póki czas zamki opatrywano, osady w nich pomnażano, ściągano ludzi, król nie odpoczął na chwilę, nie odetchnął. Czekano.

Gońce szli od granic. Oto idą, oto już ciągną. Straszono, że jak mrowia było rycerzy przy cesarzu, w żelazo od stóp do głów okutych, że na kopytach ziemię rozniosą.

Bolko ze Skarbimierzem stanęli w lasach. Wierne posły krążyły wszędzie i znać dawały.

Jesień już była późna, gdy dano znać do obozu króla, że cesarscy i Czesi granice przeszli i wtargnęli na ziemię szląskie, a Zbigniewa widziano jako przy cesarzu nieustannie był ze swą gromadką, służąc mu za przewodnika.

Henryk V spodziewał się u granicy z wojskami Bolesława spotkać i stoczyć bitwę. Żołnierz jego ciężki, uzbrojony potężnie, daleko lżej zbrojnego żołnierza polskiego zgnieść mógł łatwo. Śmiano się zawczasu z tych na pół nagich ludzi, których jak wróble na żelazne dzidy nadziewać miano. Po drodze cesarzowi przypadł naprzód Bytom, ale ten warowny był, zamknięty, mocno opasany dokoła; długo by się o niego dobijać przyszło, chcąc zdobywać. Oblewały go zewsząd wody, otaczały moczary, broniły wieże i mury. Stanęło tu nieco wojsko. Zbigniew wysłał od siebie ludzi, Mazurów swych, aby do poddania mu się skłaniali. Gdy się ku murom posłańcy zbliżyli, ujrzeli na nich siła

stojącego ludu. — Nowego wam pana prowadzi cesarz z siłą wielką — wołali posłowie — przyjmiecie Zbigniewa.

Nie chcieli srogo karani być, otwierajcie wrota! Ktoś z murów rozśmiał się śmiechem szerokim.

— Hej, hej! — krzyknięto — niechże przybywa ów nowy pan, abyśmy go

oglądali. Pan, któremu cesarz niańką, straszonym być musi!

Śmiano się zza murów szydząc, a posły Zbigniewa, Marko i Benno, choć łajali i straszili, nie przynieśli nic oprócz śmiechu.

Cesarscy panowie, zamku ciekawi, kraju i obyczaju, podjechali przyglądać się pod bramy. Nie śniło się im nawet, by wobec cesarskiego obozu ktoś ich śmiał

napadać, gdy wtem otwarły się wrota, wypadła lekko zbrojna Szlązaków gromadka, jako do płasów idąc ku nim z okrzykami.

Niemcy szli z tarczami, w pancerzach, tamci w kaftanach prostych, z małym orężem, napaść ich jednak strwożyła niespodziana i cofnąć się byli zmuszeni.

Cesarz Henryk patrzył na to z konia, wyjechawszy z obozu i ogarnął go gniew wielki. Skinął na tych, co przy nim byli z kuszami i łukami, aby bełtami i strzałami w pomoc spieszyli lekkomyślnym. Padło już kilku Niemców, zasepił się mocno cesarz i odstąpić kazał.

Zbigniew do krwi usta kęsał gdy posły jego powróciły z próżnymi rękami i nosy spuszczone. Cesarz się doń zwrócił.

— Na imię Wasze nie zważają coś wiele — odezwał się szydersko. — Nie znać w nich ochoty, by się Wam pokłonić i przyjąć za pana!

Podjechał księżę do cesarza z pokłonem.

— Najmiłościwszy Panie — odparł — co za dziw? Dzielnica to nie moja, najwierniejszy lud Bolka, Szlązacy jego. Dalej gdy pójdziemy, inaczej się okaże.

Cesarz pozostał chmurnym. Ci, co otaczali dworem wielkim, Światopług, hrabiowie Wacek i Detryszek, bronić poczęli Zbigniewa, wygadując na Szlązaków.

Wycieczka nieco szalona bytomiaków na tym się skończyła, że z jednego bliżej powalonego Niemca zbroję zdarli i okrzykując zwycięstwo do bram z nią powrócili. Taki był początek sławnej wyprawy cesarza Henryka.

Wszystkim posepniały twarze; Światopług, choć stronę Zbigniewa trzymał, nie okazywał się od drugich weselszym. Postrzegł dnia tego już zbieg, iż się doń chętniej plecami niż twarzą obracano.

U przeprawy przez Odrę czuwał Bolko.

Lasy naówczas niemal cały kraj gęsto przerzynały, wód też i błot więcej było i szerzej rozlanych niż dzisiaj. Wszystkie gościńce leśne wcześniej pozawalano kłodami drzew podrąbanych, na moczarach pozrywano hacie, na strumieniach pozrzucono mosty. Na czatach stał najdzielniejszy ufiec Bolesława, który miał poty bronić przeprawy, póki by posiłki dlań nie nadciągnęły.

Sam król w pewnej odległości od Głogowa się ustawił, w miejscu

bezpiecznym. Posły jego rozbiegły się dawno na Ruś i do Kolomana, o posiłki prosząc, lecz nimby nadciągnęły, Bolko sam z jesienią i słotą musiał się bronić najeźdźcom.

Zaprawdę, patrząc na dwa obozy tych zapaśników, cesarski i królewski, każdy by się był uląkł— pierwszego przewagi. Co tylko wiek ówczesny do wojny miał najkunsztowniej wymyślonego, tu było: najpiękniejsze zbroje, najlepszy oręż, najsprawniejsi rzemieślnicy do budowy machin obłęzniczych. Wszystko to, mimo długiego pochodu, świetnie wyglądało. Szły wozy kryte, szły powodne konie, powiewały chorągwie i proporczyki szkarłatne, ziemia tętniała pod kopytami koni tak zbrojnych a strojnych, jak ludzie.

Z całego świata niemal pościągany żołnierz w cesarskim obozie się roił: Frankowie, Sasy, Boje, Czesi, Morawianie, Włosi. Obóz Światopługów mało ustępował cesarskiemu. Rycerstwo było męzne, doświadczone, niejedną wojną za Alpami, nad Renem do wszelkiego boju wdrożone, zwyciężać nawykłe. Tu, w kraju barbarzyńskim na poły, zdało się im łatwym dokonać zaboru. Szli jakoby dla zabawy.

Gdy wojska cesarskie za Odrą się ukazały, w Głogowie się ich nie

spodziewano jeszcze. Bolkowe oddziały pilnowały brodów u Odry, poniżej i powyżej grodu samego, tymczasem cesarscy wprost naprzeciw zamku zgruntowali rzekę i z rana ją przebrnęli bez przeszkody.

Lud w dzień św. Bartłomieja wszystkim niemal po kościołach się modlił, gdy cesarscy podstąpili. Wyszędłszy z nabożeństwa, ludność w ulicach popłoch i przerażenie znalazła. Z wałów widzieć było można wojska nadciągające.

Mały oddziałek Szlązaków stał bezpiecznie na łące, pod murami zamku, w namiotach, gdy niespodzianie ogarnęli go cesarscy, chwycili część znaczniejszą i niewielu ująć mogło przed nimi.

Obóz nieprzyjacielski rozkładał się tuż pod wałami samymi.

Tu już z próżnymi rękami, jak w Bytomiu, odchodzić nie chciano, ale opatrzywszy bramy i mury, spodziewano się zmusić do poddania i chciwe łupu wojsko nakarmić:

Zrazu w Unieście trwoga powstała wielka, ale załogą dowodził stary, wytrawny, powolny i przebiegły Wojśław Głowa Rozcięta. Tego zastraszyć było trudno. Czuwał milczący. Zaparto wnet bramy, gawieź z wałów spędzono, stanął

gród jakby wymarły.

Cesarscy go objeżdżali, obchodził Wacek i Detryszek, opatrując zewsząd, i zawyrokowali, że się im

obronić nie może, a poddać rychło musi. Posłano wrząc ludzi z rogami pod wrota, aby trąbili, wywołując na rozmowę.

Stanął Wojsław siwy, niepozorny człek, ciężki, a na oko pokorny. Domagano się wpuszczenia do środka. Wolał do nich wyjść sam niż gości mieć u siebie, co by go podpatrywali, i furtą ku nim wystąpił.

Hrabia Wacek, na koniu siedzący, w zbroi pięknej, w hełmie ze skrzydły, dumnymi go zmierzył oczyma.

— Szykujcie się do poddania cesarzowi — rzekł. — Zobaczcie, ilu nas tu jest cesarskich i Światopługowych, śmiech mówić o obronie.

— Sami my to już widzimy — odparł z udaną rezygnacją Wojsław — ale

król, a pan nasz, surowym jest. Przysięgaliśmy mu nic nie poczynać bez wiadomości jego. Dajcie nam czas, posłów do niego wyprawiemy.

— Nie — zakrzyknął Wacek — nie myślcie, że nas oszukacie. Zwłoki się wam chce! Czas zejdzie daremnie, my go nie mamy, bo całe wasze królestwo zawojować musimy.

Wojsław, westchnąwszy ciężko, zakładników ofiarował. Z tym, sam nie chcąc stanowić, hrabia Wacek do cesarza jechał. Światopług i wszyscy dowódcy wołać zaczęli:

— Wziąć zakładników! Z pomocą ich łatwiej gród zdobędziemy. Wziąć

rękojmię, a dać im dni kilka. I naszym się z pochodu utrapionego spoczynek należy.

Śmiano się z wielkiej głogowian prostoty.

Wieczorem czterech młodych mieszczan, z rękami w kieszeniach, z głowami spuszczoneymi, szli jako na stracenie do obozu. Przyrzeczono im słowem cesarskim, że wrócą cali, jeżeliby Bolko odmowną dał odpowiedź, ale sobie tak lekceważono Polaków, iż im wiary dotrzymywać nikt nie myślał. Dżiczą ich przezywano jak zawsze.

Zaledwie głogowianie: Patarz, Surma, Łowiec z Wojsławowym synem

ukazali się, ku obozowi dążąc pod strażą, gdy Zbigniew przeciw nim poskoczył.

Chciał ich zabrać, aby jednać sobie i grozić. Dano mu pod straż zakładników.

Młodzi słuchali go mówiącego z głowy odkrytymi, patrzali po sobie, a na pytania i namowy nie odpowiadali. Jeden drugiego w bok potraçał, wzdychali, stękali, głaskali głowy, łamali palce, kłaniali się i milczeli.

W obozie cesarskim uradzono, aby czasu nie tracąc zacząć budować tarany do bicia ścian i bram. Ściągnięto z pobliskich lasów kłody i dwupiętrowe rusztowania owe poczęły się podnosić ku górze.

Na belkach kładziono pomosty dla kuszników i strzelców, wiązano, ciosano i ochoczo szydzono sobie z głogowian, ukazując im te potwory straszne.

Lecz Wojsław też nie zasypiał, zagrzewał swych ludzi i do obrony się sposobił. Na mury, bramy, na wały ściągano, co tylko do odparcia napaści służyć mogło: kamienie młyńskie nabijane kołami ostrymi, koła ćwiekami ponajeżane, głązy ogromne, smołę, kotły do gotowania wrzątku, kłody z ostrokołami. Dzień i noc jeździł a chodził Wojsław dokoła, opatrując, napędzając do roboty, nie szczędząc nikogo, kobiet nawet i dzieci. Wiedział on dobrze, jaka będzie króla odpowiedź. Król nie znał i znać nie chciał tego, co to jest poddać się bez walki, ze strachu. Za zbrodnię by poczytał i zdradę ustąpienie przed nieprzyjacielem.

Piątego dnia, gdy już około murów opatrzone było, a do obrony gotów gród, wrócili posłańcy. Wyszli przeciwko nim, zasłyszawszy o nich, Zbigniew, hrabia Wacek, Niemców kilku. Spoglądając urągali się. Spytany starszy, jaką odpowiedź

przynosił, odpowiedział, że król szubienicą zagroził każdemu, kto by śmiał mówić o poddaniu się. Lepiej ginąć od miecza, niż iść w sromotną niewolę. Bogdajby zakładnicy przepaść mieli, miasto się bronić powinno.

Wojsław wnet po zakładników przysłał, aby ich wedle słowa cesarskiego wydano. Cesarz Henryk gniewem się uniósł okrutnym. Posła kazał przypędzić przed siebie.

— Zakładników chcecie — krzyknął — wy krnąbrni a nieposłuszni, coście wszyscy miecza warci! Zamek wydajcie, to ich mieć będziecie, nie, to i ich, i was wszystkich wysiec każę do nogi. Nikt żywy nie zostanie.

Pojechał niemiecki graf do bramy, do Wojsława z groźbą a łajaniem.

Wysłuchał go dowódca, nie okazując po sobie nic, a gdy dokończył, rzekł mu:

— Słowa nie strzymujecie cesarskiego, wiemy więc, czego się po was spodziewać mamy. Zamku nie damy, bierzcie go.

Zawarto bramy, wszystko się na tym skończyło.

W obozie cesarskim wściekłość powstała przeciwko zuchwalstwu temu.

Światopług, hrabia Wacek, Detryszek, Zbigniew, kto żył, do nagłego szturmu nawoływać zaczęli, do zniszczenia miasta i zrównania go z ziemią. Losem Głogowa chciano przerazić Bolesława i kraj cały.

Dnia tego jednak, choć się tak obóz poruszył, wrzał i kipiał, ludzie pod mury podbiegali, sposobili się, odgrażali, nic do wieczora nie zrobiono. Na wałach też cicho się sprawiano, miasto spać się zdawało.

Wieczorem tylko tarany owe straszne podtaczać zaczęto bliżej ku murom i miasto dwu, które stały gotowe, cztery ich natychmiast pod noc układać poczęto, ciosać i wiązać. Topory słychać było przez



noc całą.

Zbigniew zakładników zdał dnia tego cesarskim, nim poszli, przemówiwszy do nich, upór karcąc i nakazując, aby do swoich stali, do poddania się namawiali, bo inaczej życie tracą.

Zakładnicy popatrzeni, głowami potrząśli, nie odpowiedzieli nic. Książę nalegać zaczął.

— Daremna to rzecz — odezwał się jeden — przeciw woli króla nikt nic nie uczyni, choćby szło o głowę.

— Idźcież na złamanie karku i niechaj was wywieszają! — krzyknął

Zbigniew.

Choć gród szczelnie był zamknięty, a w obozie stały straże, działy się dziwy jakieś niepojęte. Cesarscy mało co albo nic o mieście nie wiedzieli, a do grodu z obozu dolatywało wszystko. Cesarscy się posługiwali pochwytanymi w okolicy ludźmi do czarnej roboty, niewiele na nich zważając. Czerń ta dniami pracowała, z nocy jej często nie stawało. Wojśław zawczasu był uwiadomiony i co z zakładnikami uczynić mają, i że szturm będzie straszliwy.

Na każdej polaci starszyznę poustawiał ze swej ręki, przysięgę pobrawszy z niej, że umrzeć każdy raczej gotów, niżeli wrota otworzyć. U wyłomów, uchowaj Boże, choćby je trupami zawałać przyszło, stać mieli jak mur.

Nazajutrz rano Niemcy jeszcze przysposabiali swe maszyny, obchodzili mury, naigrawali się, odgrzali, gotowali, a kusznicy i łucznicy przeciągali kupami, aby siłę swą okazali. Cesarz sam na koniu wyjechał, patrzył i rozkazywał.

Rozwinięto całą siłę, ażeby obleżonych nią przestraszyć.

A na murach stali ludziska licho poprzyodziejani, jako tako zbrojni, niepozorni, gdy wojsko Henrykowe w całym blasku i majestacie przeciągało.

Ogromna mnogość tego ludu, rozmaite jego uzbrojenie, straszliwe hełmy grafów, najeżone rogami, głowy zwierząt i rozmaitymi godły, świetne ich pancerze, ogromne dzidy Sasów, frankijskie oszczepy, chorągwie i chorągiewki panów, które lasem stały u namiotów, nade wszystko poczarne owe tarany, które miano pod mury i bramy zataczać, ogromne kusze i łuki strzelców mogły przerazić załogę, poza nadwerżonymi i tylko co polepionymi na nowo murami i wały stojącą.

Ale na czele mieszczan stał Wojśław i gromadka Bolesławowych rycerzy, zagrzewająca do boju, umiejąca natchnąć męstwem. Mieszczanie z przestachem spoglądali na te przybory, na mrowiącego się nieprzyjaciela, na ten blask i przepych cesarskiego obozu, w którym śpiewy i trąby się rozlegały, na przeciągające ufce; słuchali urągań, pogróżek i łajania, ale zarazem spoglądali na Wojśława, który stał tak nieulekły, jak by dla rozrywki na mur się wybrał.

Gdy przyszło do dawania zakładnika, a stary dowódca wiedział, że

mieszczanie na słowo cesarskie niechętnie dadzą swe dzieci, przykład z siebie czyniąc, syna własnego posłał, nie mówiąc o tym cesarskim. Nieszczęściem poznano go tam lub sam się zdradził butny chłopak, tak że gdy nań Zbigniewowi ludzie nastawać poczęli, iż Wojsławów był, przyznał się do tego, kryć nie myśląc.

Zbigniew w cięższym coraz był położeniu. Od Bytomia cesarz nań prawie patrzeć nie chciał. Dopóki nie weszli na polską ziemię, wmawiał w Henryka, że mu się grody pod nogi kłaść będą i nikt czoła stawić nie śmie. Teraz już i Wiprecht Groicz, i wszystka starszyzna otaczająca cesarza widziała, on sam wreszcie przekonał się, że z upartym Bolkiem nie pójdzie tak łatwo. Trudniej już coraz było o żywność dla ludzi i koni, sąsiednie sioła prędko zostały ogłodzone, z resztą mienia ludzie się rozpiezchli po lasach. Kilka kupek picowników, co się zapędziły dalej, padły pod mieczami polskich zasadzek albo mało co z nich wróciło. Jesienna wyprawa coraz groźniejszą się wydawała. Cesarz z każdym dniem gniewniejszy był. Światopług chodził chmurny, Zbigniew sypał jeszcze słowa, obietnicami, dowody, ale nic się nie sprawdzało. Słuchać go już nie chciano. Nazajutrz szturm przypuścić miano.

Powziął Zbigniew myśl szatańską i pobiegł z nią do cesarskich namiotów.

Trudno mu było już zyskać przystęp do cesarza Henryka, który na niego wszelką winę zawodów doznanych składał, wreszcie uproszony Światopług do namiotu go wprowadził.

Cesarz się z grafami swymi naradzał.

— Miłościwy Cesarzu — odezwał się wchodzący książę — ażeby czasu

drogiego nie tracić, a uporne miasto zmusić do poddania, jest środek prosty, a niechybny.

Obrócili się grafowie z pogardliwym niedowierzaniem, cesarz się ani odezwał, ani oczu nań nie podniósł.

— Na taranach powiązać ich zakładników — dodał Zbigniew. — Jest

między nimi syn starosty. Nie będą przecie śmieli własnych dzieci mordować. Nasi kusznicy i łucznicy padną na bezbronnych i dostaną się do miasta.

Spojrzeli Niemcy na mówiącego z wyrazem zadziwienia i niemal oburzenia.

Nieludzka rzecz była, słowo złamawszy, zakładnikami tymi dobijać się do miasta i korzystać z rodzicielskiej miłości.

Cesarz uśmiechając się dał głową znak przyzwolenia. Ten, który ojca nie poszanował, mógł nie mieć dla obcych litości. Szło mu o to, aby zdobyć miasto; jak miało być zdobyte, nie dbał. Zbigniew wyszedł zwycięski i uradowany.

# VI

Nadszedł dzień ten straszny, do którego modlitwami się przygotowywano w trwodze wielkiej, we łożach tajemnych. Jak świt, poczęły zewsząd wojska cesarskie miasto opasywać, z tych zwłaszcza stron, z których najsłabszym się być zdawało.

Pod bramy zataczano z wysiłkiem wielkim tarany owe olbrzymie. Łucznicy szli oddziałami wielkimi. Rogi grały, lud się naciskał gęstymi szeregami. Z dala widać było cesarza samego pod chorągwią wielką stojącego z grafami swymi, w szyszaku z orłem, we zbroi świecącej, na koniu siatką żelazną okrytym.

Około niego w hełmach całe twarze osłaniających, których właśnie używać dopiero poczynano, kręcili się groźnie pouzbrajani rycerze z włóczniami malowanymi, z mieczami błyszczącymi u pasów.

Na murach głowy tylko ludu szląskiego widać było. Z jednej strony walczył

żołnierz stary i doświadczony, z drugiej prości ludzie, uboga czerń, niewiasty nawet. Ale też napaść stokroć od obrony była trudniejszą.

Pod główne wrota toczył się właśnie ów taran dwupiętrowy, gdy Wojsław, wypatrujący przez otwór muru, ujrzał na górnej połaci uwiązanych do sterczących na niej palów własnego syna i zakładników.

Oszupiał stary, oczom własnym nie wierząc. Toczyła się ta potwora, przed którą naigrawając się, jechał Zbigniew, wywołując ku bramie, aby na nią uwagę obrócił.

Chwilę na wyzkach u wrót panowało milczenie grobowe. Zdumienie, litość, żal objęły głogowian, starzy ręce łamali z rozpaczą. Krzyk dziki dobył się potem z ich piersi i wszystko umilkło.

W innych też miejscach, gdziekolwiek mur się słabszym wydawał,

podtaczano rusztowania, a skoro się zbliżyli do murów, wskakiwali na nie łucznicy, drapali się na połąć górną i pogotowiu stawali do rażenia strzałami. Na dolnej mieszczono najlepszą piechotę z tarczami i oszczepami, aby po spędzeniu obrońców wpaść mogła natychmiast wyłomem do grodu.

Upłynęło jeszcze kilka pacierzy, nim znak dano trąbami zarazem ze

wszystkich stron do szturm, ale głos trąb wnet zagłuszyły wrzask, łomot i huk straszny. Uwiązane na łańcuchach belki bić zaczęły w bramy i mury, kusze i łucznicy sypnęły z góry na obłożonych gradem bełtów, pocisków i strzał, krzyki rannych, nawoływania dowódców rozległy się ze wszech stron w powietrzu.

Nad główną bramą stojący Wojsław miał do wyboru w piersi własnego syna mierzyć albo nie broniąc się zdać miasto. Oko mu się zaiskrzyło, pierś wezbrała wściekłością na wiarołomców, przeżegnał się biedny ojciec i pierwszy dał znak do obrony zajadłej.

Gdy taran zaczął walić w bramę, nie zważając na zakładników, sypnięto strzałami i kamieniami z murów ku oblegającym. Bracia i ojcowie zamknęli oczy, aby nie patrzeć i nie widzieć, gdzie szły ciosy i kogo dosięgły. Cesarscy, którzy stali obok zakładników, prawie bezbronni, bo się wcale nie spodziewali, aby przeciw nim walczyć się ośmielano, poczęli pierwsi jęcząc padać na pomoście.

Rozpaczliwy bój zawrzał ze wszech stron. Cesarscy jednak, co szli walcząc za cudzą sprawę, płatni i zaciągowi, choć mężnie się stawili, nie szli z takim zapomnieniem na siebie i ofiarą jak głogowianie, którzy żon, dzieci, mienia i czci bronili.

Gdy z rusztowań zaczęto pociski rzucać, zarazem z murów odpowiedziano nie tylko strzałami, ale wszystkim, cokolwiek pod ręką się znalazło. Sypnęły się kamienie ogromne, które ciężarem pomosty taranów gruchotały, belki ostrymi koły najeżone, koła nabijane gwoździami, smoła gorąca, ukrop.

Rycerze, co szli za tarczami, z początku nie myśląc wcale, aby byli tak dzielnie i zawzięcie odparci, nieopatrznie się wystawili na ciosy i ranni zaczęli walić się, jedni drugich przygniatając.

Z obozu widać było najpiękniejszych tych tarczowników cesarskich, jak im kamienie młyńskie gruchotały hełmy żelazne i głowy razem z nimi, tarcze łamały i piersi. Lud ten padał u murów wałem trupów i rannych. Tym, co się obaleni, a żywi jeszcze chcieli ratować, nikt nie śmiał przyjść w pomoc, gdyż z murów bezustannie sypały się głazy i drzewo; lano wodę, sypano garnki ze smołą zapaloną, które oblewały ogniem i płonęły na ludziach, zadając im straszne męki.

Na widok tej obrony zajadłej cesarz pobladł z gniewu zarazem i strachu o swych żołnierzy. Lękał się postradać, co miał najmężniejszego w tym pierwszym boju o jeden z grodów, gdy tyle ich jeszcze i ziemi tyle wojować było trzeba.

Odstąpić nie było sposobu, srom ogarniał przed tą ciżbą w sukmanach cofać wojsku cesarskiemu. Nowych więc słano na pomoc, a ci, zaledwie przybywszy, padali ranni lub uchodzili pokaleczeni. Na owych pomostach leżały już same trupy prawie, które nowo przybywający łucznicy zrzucić musieli precz, aby sobie miejsce uczynić.

Widok był krwawy i przerażający. Z rozbitych owych pocisków

kamiennych, głazów, gruzu, wznosiły się chmury pyłu wygryzającego oczy, dym palącej się smoły wił się po ziemi, leżący i obaleni próżno się usiłowali uwolnić od zbroi, które rozpalone od wrzątku i smoły żywcem ich piekły. Z obu stron wznagała się wściekłość, którą widok i woń krwi upaja. Dwu zakładników leżało zabitych przez własnych braci. Cesarz patrzył na to z dala i sromem oblała mu się twarz. Oczyma szukał Zbigniewa, ale go w pobliżu nie było. Stał pod taranem zakryty ścianą z tarcic i z gniewu miotał się bezprzytomny. Rachuba jego była fałszywą, wstyd go ogarniał. Nie żał mu było ludzi, omyłka go popełniona sromem okrywała, lękał się nieprzyjaciół, których sobie przyczynił okrucieństwem.

Pod główne wrota, których część zatoczony taran przysłał, poczęto ogień podkładać i podkopywać się z drugiej strony, aby móc podłożwszy drągi wyłamać ogromne podwoje, całe żelazem obite. Robotnicy pracowali tu ogniem i toporami zarazem, gdy z wierzchu pomiędzy rusztowanie a mur spuszczone gwałtownie kloc olbrzymi. Ten spadając zdruzgotał część taranu i z jego cząstkami spadł

na karki tym, których on miał osłaniać. W ślad za nim posypały się kamienie, polał ukrop dymiący.

Wojśław ciskać kazał na drewniany pomost garnki ze smołą zażegnietą, która suche drzewo płomieniem objęła. Płomienie wznosiły się ze wszech stron.

Piechota co żywiej uchodzić zaczęła, rzucili się i łucznicy stojący na górze ku drabinom. Wtem widłami żelaznymi chwytając ich poczęli ludzie z murów i kilku porwawszy na nie do góry, cisnęli na ziemię, na której trupami legli.

Syn Wojśławów, cudem ocalony, żył, drugi jego towarzysz, choć ranny, klęczał na pomoście obwiązując ręce, aby zatamować krew upływającą. Sami łucznicy, przywiązując cenę do zakładników, zerwali im sznury i pochwycili z sobą. W czas właśnie, gdyż owo rusztowanie ogromne płonęło już ogniem zewsząd, trzaskało i walić się poczynało, główniami ognistymi obsypując murów podnoże.

Ze wzgórza, na którym cesarz sobie obrał stanowisko, aby się przypatrzeć szturmowi, widać było każde wojska poruszenie. Zobaczył też Henryk i uchodzącego spod bramy Zbigniewa, przed którym znaczek jego niesiono. Nim się miał czas od murów odsunąć, kilka bełtów ugodziło go w zbroję, raziło konia, którego dosiadł, i pokaleczyło dwóch ludzi, co z nim byli.

Zbigniew nie śmiał się już nawet zbliżyć do cesarza, bo się lękał gniewu jego. Światopług z hrabią Wackiem i Detryszkiem szli z innej strony, cofnął się więc mrużąc ku padołowi i pozostał sam widzem gniewnym a beczynnym tego wysiłku, którego bezskuteczność widzieli już wszyscy.

Wiprecht Groicz przypadł do cesarza Henryka, rozpalony bojem, do którego najlepszych ludzi swych prowadził. On sam miał zbroję kilkakroć rażoną pociskami, u hełmu róg jeden odtracony.

— Przekłęci — zawołał, zbliżając się do cesarza — przekłęci niech będą doradcy ci, co sami się zgubiwszy, drugich w matnię prowadzić gotowi!

Słowa te zarówno się mogły stosować do Światopługa i Zbigniewa.

Współzawodnik czeskiego króla, Borzywoj był szwagrem Wiprechta, który w sercu pewnie stronę jego trzymał i obu królestwa się dobijającym, Czechowi i Polakowi, był przeciwnym.

Henryk V, choć doznał zawodu i w sercu gniewnym był, nie chciał okazać zwątpienia i zawołał do Groicza:

— Straconego nie ma jeszcze nic, oprócz trochy drzewa i kilkudziesięciu ludzi, o których łatwo!

— O takich jak ci, co nam tu giną, Miłościwy Cesarzu — odezwał się Groicz

— niełatwo, nawet Waszej Cesarskiej Miłości. Nabito nam w pierwszym starciu kwiatu rycerzy! Gdybyż zginęli przynajmniej w bitwie walnej, walcząc w szyku przeciw rycerzom, nie byłoby sromu ni żalu, ale od gawiedzi i czerni mizernie belkami i kamieniami młyńskimi być tłuczonym, zaprawdę ciężko jest i boleściwie!

Cesarz, który zawsze najmocniej w złota wierzył potęgę, przywoławszy do siebie Groicza, szepnął mu, aby wieczorem na rozmowę wyzwać starszyznę i starać się ją kupić datkami.

— Gdy raz miasto poddadzą, złoto się powróci — dodał — odbierzemy je z nawiązką, a ludzi każemy potracić!

Groicz, który lepiej pono znał kraj i ludzi, pochwał głową.

— Daremna to rzecz — rzekł — ci, co się krwi własnej nie lękali przelewać dla obrony miasta, nie dadzą go za złoto. Droższe im były dzieci od złota! Próżno myśleć o tym. Zbigniew winien, on wszystkiego przyczyną, on kłamcą i zawodnikiem!

Nadszedł na to jednooki Światopług, za którym konia wiedziono ranionego, i usłyszał to narzekanie na Zbigniewa, w którego obronie stanąć musiał.

— Nie bijcie nań — wtrącił — człek nieszczęśliwy jest. Szląsk Bolkowa dzielnica, tu ludzie się swego pana lękają, gdy pójdziemy dalej, lepiej i inaczej będzie.

— Więc — podchwycił Henryk — więc Głogów mielibyśmy rzucić tak i ze wstydem odejść od niego!

— Miłościwy Panie — zagrział śmiały głos Wiprechta — im prędzej stąd pójdziemy, tym lepiej. Dla marnego tego gniazda ludzi tracić, siły terać! A oto jesień za pasem, wody wyleją, rzeki powzbierają, paszy zabraknie, głód przyjdzie.

Cesarz zamilkł.

Bój się toczył jeszcze. Było już z południa. Szturm cesarskich nie ustawał, ale siły mu znacznie ubyło. Trupów i rannych moc wielka na wałach leżała. Co się w grodzie działo, nie wiedział nikt, obrona była coraz gorętsza. Z wierzchołka wież poprzystawianych widziano padających od strzał, lecz tych wnet niewiasty chwyciły i do domów odnosiły. Na ich miejsce stawiali drudzy. Obrona, do której niekoniecznie żołnierskich, byle silnych rąk dosyć było, zdawała się wzmacniać i stawać dzielniejszą z każdą chwilą. Jeśli w którym miejscu na krótko ustała, a ludzie ośmielani nacisnęli tam, można było ręczyć, iż gdy podejdą, runie na nich zgotowane wcześniej mordercze jakieś narzędzie. Ludzie rozbierali domy, obalali szopy, wydzierali ze ścian bierwiona, progi z chat i budowli, nieśli całe łomy obalonych murów i spychali je na głowy napastników.

Wieczór nadchodził, który miał dać obu stronom spoczynek. Cesarscy nie tylko że żadnych wrót nie naruszyli, nie złamali muru, ale stracili dwie wieże z taranami. Próżno bełtów i strzał wypuścili mnóstwo, a padło ich nad miarę wielu.

Więcej jeszcze rannych leżało pod trupami, czołgało się po ziemi i wywlekało do obozu w potrzaskanych na kawały i popękanych zbrojach.

Słońce zachodziło, gdy cesarz znużony widokiem tym zjechał ze wzgórza ku namiotowi swojemu, rozkazawszy dokoła obstawić strażę, a wojsko od murów odwołać. Starszyzna, grafowie, dowódcy, ściągając się poczęli wszyscy do namiotu Henryka, których nierychło dopuszczono do niego. Gdy się

cesarz ukazał, rozdzielony ze zbroi, w ciemnej sukni krótkiej z łańcuchem i klejnotem na szyi, bez pasa i miecza, oblicze jego, zawsze dzikie i groźne, blade było i wyrazem skromionej złości straszniejsze niż kiedy. Obrażona duma pańska wzmożła się i wzrosła do najwyższej potęgi. Widać było po nim, że o ten pochód nieszczęśliwy nie siebie obwiniął, ale tych, co go doń nakłonili. Nadto miał jednak świadków, aby wobec wszystkich przewrotny pan wybuchnął; wstrzymywał się, dając mówić drugim.

Wszyscy sromali się przyznać do klęsk i strat poniesionych dnia tego i radzi by je byli umniejszali. Stary, jeszcze Henryka IV doradca, Genno, ozwał się tylko:

— Gród, gdyby się go i zdobyło, niewart tego, co nas może kosztować! —

Ciągnąć by dalej należało, Bolesława szukać i porazić go na głowę, do bitwy zmuszając. Wtenczas byśmy i kraj w ręce dostali.

— Zatem — odezwał się Groicz — jak Bytomia, tak Głogowa lepiej było nie napoczynąć, niż począwszy odstępować!

Inni milczeli. Cesarz patrzył oczyma złymi, nie mówiąc nic, białą ręką targał suknię na sobie. Wzrok jego Zbigniewa szukał, który z dala na boku stał.

Wpatrzywszy się w niego, rzekł Henryk:

— Gdzież są ci, co Bolesława nienawidzą i tak być mieli gotowi bramy nam otwierać, jego zrzucić, a do księcia się cisnąć? Dotąd ich nie widać!

— Na głogowian ja nigdy nie rachowałem — ponuro odezwał się Zbigniew.

— Na kogóż przecie? — rzekł dumnie i szydersko cesarz. — Jeśli nam tej pustyni każdą piędź tak zdobywać przyjdzie, ani ona, ani dań z niej nie warta szlachetnej krwi, którą je opłacimy.

Wiprecht wtrącił:

— U Głogowa i miesiąc stać przyjdzie, a nie weźmiemy go. Z dzisiejszego dnia miarę brać trzeba. Czym prędzej odejdziemy stąd, tym więcej oszczędzimy ludzi.

Nikt nic nie rzekł przeciw temu. W obozie z powracającymi pułki szły razem gniewy i narzekania wielkie, że najlepszego żołnierza poświęcono marnie pod murami.

Klęska dnia tego znaczniejszą była, niż zrazu mniemano. Sasi, Frankowie, Bawary, Turyngi ponieśli straty w ludziach i zbrojach znaczne. Nie rany to były, jak w bitwie na polu stoczzonej, ale srogie pobicia, zgniecenia, połamanie rąk i nóg, od którego żadna zbroja osłonić nie mogła. Rannymi bez ratunku i

dogorywającymi w męczarniach napełniały się namioty.

Po wodzach i starszyźnie widać było zniechęcenie i zwątpienie. Naradzano się gromadkami z sobą, spoglądano z dala na te mury stojące jak wczora, nie wyszczerbione, nietknięte, całe, gdzie niegdzie tylko od ognia okopcone, pooblewane wodą i smołą. Wyłomów od taranów i kłód prawie na nich widać nie było, ledwie się gdzie kamień usunął i odleciało wapno, zawisł jaki hak żelazny, na, którym sterczał pocisk bezsilny. Tam, gdzie wewnątrz uszkodzone były mury, widziano już krzątającą się ludność, która kamień, ziemię, drzewo przynosiła dla naprawy.

Cesarz z własnej myśli wysłał dwu zakładników do miasta, wprzód ich przed siebie kazawszy przywołać i groźnie im w swej obecności przez woźnego zapowiedziawszy, aby swych mieszczan do poddania się skłonili, gdyż inaczej rękawicy nie da cesarz, w pień każe wyciąć mieszkańców i gród obróci w perzynę.

Odprowadzono ku bramie głównej syna Wojsławowego z towarzyszem,

którzy uprosili, że im i zwłoki zabitych zabrać z sobą dozwolono. Gdy z wozem, na którym okryte sukna kawałem trupy zakładników spoczywały, zbliżyli się do głównej bramy, Wojsław wyjrzał sam, lecz się zrazu zdrady lękał i otwierać nie kazał. Dopiero gdy cesarscy dobrze się oddalili, furte otwarto i wpuszczono ocalonych. Wojsław syna objął, długo z uścisku nie puszczał i słowa rzec nie umiając. Nadbiegli i drudzy z jękiem a narzekaniem, wnosząc trupy, za którymi wnet się wrota zamknęły i gród umilkł. Żaden się jęk już nie dobył z niego.

W obozie cesarskim naradzano się niemal noc całą, a nie przyszło do żadnej zgody i postanowienia. Gdy dobrze rozedniało, poczęto się ruszać jakby do nowego szturmu. Wojsko podstępowało z wolna ku murom, nie z wczorajszym wrzaskiem i trąbami, ale opieszale, ociągając się, oględnie. Wprzód jeszcze cesarz woźnego swego (herolda) posłał z rogami do bramy, aby do poddania się wzywał. Zdawało mu się, że zakładnicy do niego nakłonią. Gdy woźny zbliżywszy się trąbić kazał, długo się nikt nie ukazywał. Wystąpił potem na wyżki stary człek, którego Wojsław posłał dlatego, że się mógł dobrze z Niemcem jego mową rozprawić.

Ujrzawszy go woźny cesarski, podniósłszy głowę, ręką rzucając, wołać począł:

— W imię Jego Cesarskiej Miłości, pana mojego Henryka, wzywam was,

abyście się wnet, nie mieszkając, poddawali, nie chcieli swej zguby, zniszczenia i śmierci.

Szlązak, którego Wojsław posłał, człek osobliwy, nie na wiele się zdał

rękami, ale język wyprawny miał jak najlepsza skóra.

— W imię Jego Królewskiej Miłości, pana naszego Bolesława — zawołał —

wzywam Jego Cesarską Miłość Henryka, aby od naszego grodu ustąpić raczył.

Skarbów nie mamy, żywności ino tyle, co na nasze gęby, a o strachu też u nas nic nie słyhać.

Woźny, który orła miał wyszytego na kapie piersi okrywającej, uczył się tą mową strasznie dotknięty.



— Pomnijcie, czym jest cesarska moc — zawołał — która całemu światu panuje i rozkazuje!

Szlązak, imieniem Piotuch, pokłonił się i odrzekł:

— Szanujemy my Jego Cesarską Miłość, ale mamy swojego pana, który nam bliższy jest. Ten by nas wywieszać kazał, gdybyśmy bramy otworzyli.

Nadbiegł w tej chwili konno Zbigniew ze swymi i począł z dala wrzeszczeć, a ręką grożąc:

— Ludzie głupi! Bez mózgu bydło! Co czynicie? Bolesław już waszym

panem nie jest! Ziemia jego wszystka zajęta, nie oprze się nam z garścią swych niedobitków, którą Pomorze zdziesiątkowali! Jam wasz pan, nie kto inny! Ja wam rozkazuję, zaraz mi bramy otwierać!

— My Miłości Waszej jako żywo nie znamy — odrzekł Piotuch.

— Wywołajcie mi na mur Wojysława — krzyknął Zbigniew — abym z takim

mówił, co rozum ma, a nie z wami!

Wtem zza murka ukazał się i powołany Wojśław, wyłażąc powoli. Stanął i szłyk z głowy uchylił. Do niego się Zbigniew obrócił zaperzony z gniewem.

— Co czynicie, szaleńcy? Co czynicie, utrapieńcy! Upokorzcie się i posłuszni bądźcie cesarzowi. Wasz Bolesław, co się po lasach musi jak zbójca ukrywać, nie dostoi. Wie, co moc jest cesarska. Poddawajcie się, chcecieli być cali.

Wojśkaw popatrzył nań i rzekł krótko:

— Nie poddamy się.

Zbigniew plunął z gniewu i złości.

— Kamień na kamieniu z waszych murów nie zostanie — począł krzycząc

— pójdzie gród z ogniem, nie ocaleje dusza żywa! Nie zmożemy was dziś, wróciemy jutro straszniejsi jeszcze i w gruzy obrócim ten psi barłóg wasz.

Na murze stojący słuchali, nic nie mówiąc. Wojśław z tej mowy o jutrze wniósł tylko, że dziś niewiele się spodziewali dokazać.

— Poddajcie się! — wściekle głos coraz podnosząc, wołał Zbigniew.

Wojśław głowę skłonił i rzekł chłodno:

— Nie poddamy się!

Stał jeszcze Zbigniew. Woźnemu cesarskiemu oddalić się kazał. Wojśława do furty zażądał jeszcze

na osobną rozmowę.

— Abyście mnie zdradziecko ubili i miastu odjęli głowę — rzekł Wojsław

— nie pójdę.

Zaklinał się na krzyż Pański Zbigniew, stary głową potrząsał:

— Klęście się Wy panu naszemu nie jeden raz, a zdradziliście go nie jutro, ale tegoż dnia, gdy przysięga nie zastygła! — rzekł Wojsław obojętnie. — Nie idę.

Zbigniew się ofiarował oręż precz odrzucić, ludziom kazał jechać, byle z Wojsławem mówić mógł sam na sam. Stało się wreszcie, jak chciał. Gdy się rozbroił, furtę na wpół otwarto, Wojsław się w niej ukazał.

— Dziesięć grzywien złota — rzekł książę — dla Was, dwadzieścia srebra, jeśli zamek poddacie!

Wojsław oczy podniósł na niego.

— Ani dziesięcią tysiącami mnie nie kupicie — rzekł ponuro. — Damy my wam dziesięć grzywien, abyście precz szli.

Rozsierdził się znów książę, poczynając grozić i łajać, lecz i to nie skutkowało.

Rozmowa zabrała czasu dużo, ale stała za pozór, dlaczego dotychczas nowego szturmu nie przypuszczano, do którego nikt nie miał zbytniej ochoty.

Tracić tu rycerzy, gdy dla pokonania Bolesława było ich potrzeba, cesarz się wahał, odradzali wszyscy.

Gdy nareszcie woźny i Zbigniew z niczym od wrót do cesarza powrócili, znaleźli tam już postanowienie, że nazajutrz o świcie wojsko całe ku Wrocławowi wyruszyć miało. Spodziewano się jeszcze w pochodzie napaść na Bolesława i oskoczywszy go do walnej przymusić bitwy.

Jesień coraz słotniejsza następowała, psowały się drogi, deszcz lał, rzeki wzbierały, grzędawice stawały nieprzebyte.

W ciągu tego dnia pojedyncze już tylko gromadki podkładały się z różnych stron pod mury, strzelając z kusz do ukazujących się na nich. I w tym szczęścia nie mieli, bo strzelców starych kilkudziesięciu Wojsław wysłał, którzy czatowali mury obchodząc, a bełty z kusz ciskali tak trafnie, iż razili, kogo wzięli na oko.

Straciwszy kilku, Niemcy i tych harców pod wieczór zaprzestać musieli.

Nazajutrz obóz zwijać miano. W milczeniu jedni, z odgrózkami straszliwymi drudzy, Doglądając ku murom przeklętym, poczęli namioty ładować na wozy, konie ściągać i pułki szykować na błoniu.

Jawnym już było dla głogowian, że oswobodzeni wkrótce być mieli. Nie wybuchli jednak z radością i milczenie na murach panowało. Obawiano się podstępu i zdrady.

Ze dniem bez rogów, okrzyków, cicho, powolnie zaczęli odciągać Sasi naprzód, których po długich włóczniach poznawano, Frankowie, potem Boje, Almanie i Czechy.

Z ostatnimi ciągnął też Zbigniew, cesarza unikając, który, ile razy się pokazał na oczy, wyrzucał mu, że go uwiódł i okłamał łatwym zdobyciem kraju, co mu się do stóp miał położyć.

Wielka owa buta i wesele, z jakimi pod Bytom przyszli, znacznie w

pochodzie przytarły się i ostygły. Szukano Bolesława, znaleźć go nie było można, choć czuć go było wszędzie. Gościńce zawalone, zasieczone drogi, puste sioła, pozrywane stogi, kraj bezludny, głodny, przygotowanym był widocznie, ażeby pochód utrudnić. Gdzeniegdzie reszty traw i paszy dymiły, wypalone świeżo.

Oddaliła się gromadka jaka od wojsk ciągnących kupą dla paszy i żywności, których nie stawało, wnet się wyrwał oddział z lasu zaczajony, z wąwozu, ze trzcin, z rowów, powstawał, napadał, ścigał, rąbał i uchodził.

Nocami nawet na wielkie obozowisko padały strachy. Choć nikogo nie

spotykali, niewidzialne jakieś oczy śledzić się ich zdawały. Przednie straże, gdy się cokolwiek poruszyły za żywo, spłoszone wnet musiały się zwijać ku swoim, bo na nie w biały dzień najeżdżano.

W lasach raziły na tyłach, na bokach pociski, jakby z nieba spadające, bo ludzi nikt nie widział. Studnie były pozawalane, na polach pustki stratowane.

Szli tak, coraz wolniej i ostrożniej się posuwając. Nieprzyjaciel zdawał się li być z prawej strony, występowano gromadniej szukać go: zjawiał się z tyłu. Zwrócono się w tył, zachodził z przodu, zawsze tam, gdzie się go nie spodziewano. Jednego dnia po prawicy niepokoił, nazajutrz rwał od lewego skrzydła.

Czesi pierwsi, zniechęceni, zrażeni do Niemców, poczęli w drodze piosenki układać, które po całym obozie nucono:

*Bolesławie! Sławny panie!*

*Daj ci, Boże, panowanie,*

*Nie spisz we dnie ani w nocy,*

*I nam nie dasz zmrużyć oka.*

*Sam z gromadką, bez pomocy,*

*Gnasz nas jak ziemia szeroka.*

*Bolesławie, sławny panie!*

*Daj ci, Boże, królowanie!* itd.>(\*Gallus (przypis autora).

Niemcy, choć nie śpiewali, narzekali srodze, bo nie tylko łupu nie było żadnego, ale głód, chłód i pragnienie cierpieć musieli. Bić się nie było z kim, a napaście znosili codzienne. Przychodziły one jak pioruny z nieba jasnego, a gdy się żołnierz zabierał do odparcia, już nie miał przed sobą nikogo i dokąd ścigać, nie wiedział.

Do cesarza już najulubieńsi słowa rzec nie śmieli, tak rozdrażniony i mściwy ciągnął.

Zbigniew chował się, Światopług też burczał, że darmo do Polski się powlókł, gdy i doma było do roboty wiele. Spodziewał się Węgrów w gościnę, a prawdopodobnie i Ruś Bolkowi przyjść musiała na ratunek. Wyciągnąwszy zaś raz, ciągnąć dalej zmuszeni byli, radzi czy nieradzi, i wlekli się mokrymi równinami ku Wrocławowi. Wozy grzęzły, konie padały, ludzie chorzeli, narzekanie z dniem każdym było głośniejsze.

Grafowie i rycerze niemieccy widząc, że i bić się nie było z kim i rabować nie mieli co, srożyli się na Zbigniewa, narzekali nawet na cesarza. Widzieli, że kraj to był nie do podbicia, bo choćby bitwę wygrali, zawładnąć nim nie mogli. Grody stały jak opoki, oblane moczarami, a z bezpańskich pustyni, w których żywej duszy nie było, nawet szkapa się nie napasła. Lasy gęste straszyły jak twierdze niezdobyte, bo każdy las zasadzką był, najeżoną przeszkodami, a gdy w nim kto zabłąkał się i pozostał, nie powrócił do obozu. Puszcza go pożerała i śladu po nim nie było. Nocą mało kto mógł usnąć. Nie dosyć było stawić czaty, musieli żołnierze we zbroi się kłaść, bo często po dwakroć i trzykroć nocą na koń wołano. Rozruch się wszczynął, kupka jakichś ludzi z ziemi wyrosła rzucała się na namioty, na konie i ludzi, zabierała, co było pod ręką, i nim się do obrony przygotowano, znikwała.

Dwa czy trzy razy Niemcy w takich utarczkach zdawali się mieć przewagę, zmusili do ucieczki, popędzili za uchodzącymi, wpadli w jakiś zakąt, gdzie ich osaczono i wybito, tak że mało kto lub nikt nie wrócił. Zbliżając się do Wrocławia, znęكاني w śmierć, prosili Niemcy Boga o walną bitwę, o nieprzyjaciela jawnego, ażeby raz niedoła się ta skończyła.

Cesarzowi donoszono o wszystkim, i o szemraniu w wojsku, i o owych

pieśniach na cześć Bolesława, których się już i Niemcy znad Renu ponauczali.

Zakazywano szemrać i śpiewać nadaremnie. Śpiewano piosnki szyderskie ciszej tylko, z biedy śmiech czyniąc, i nie wiedziano, czym się już pocieszać. Wołali ciągle Niemcy: „Gdzie ów Bolesław? Niechaj stanie, niech się nam pokaże!”

Drudzy im odpowiadali szydersko: — „Nie ma go nigdzie, choć jest wszędzie, łapajcie, gdy możecie!”

Nie dochodząc do Wrocławia, cesarz znowu zwołał grafów na radę, ale Zbigniewa, który też się na nią wybierał, nie dopuszczono. Zdrajcę zaczynano już podejrzewać o zdradę.

Zebrali się Światopług, Wiprecht, Wacek, Detryszek i inni dowódcy; Henryk zagaił sam z

zapalczywością wielką;

— Wwiedli nas w kraj dziki, pogański — zawołał — gdzie i o chleb trudno, nie mówiąc o łupie, bez którego tyle ludu trudno utrzymać. Ja wojska żołdem nie opłacę. Bolesław jak wilk wściekły krąży i obrywa nas, nie śmiejąc wystąpić.

Żołnierz czuwaniem i pochodem znużony pada, konie zdychają, lasy nieprzebyte, moczary niezgruntowane, robactwo zjadliwe, strzały zewsząd padają, wieśniactwo zawzięte, pochodu tego dosyć już mamy. Na Kraków, na główny gród iść potrzeba, złupić go, okup wziąć, chyba to nam nagrodzi straty.

— Miłościwy Cesarzu — odparł Groicz — nim do Krakowa dociągniemy,

ażaliby nie lepiej spróbować układów z Bolesławem. Poślijmy doń, zagroźmy mu, przecież znajdzie go ktoś w tej dziurze, w której zaczajony siedzi.

— Jedź sam, jeśli chcesz — odparł cesarz — jedź z tym, by mi moją dań, trzysta grzywien, wypłacił. Wyjdę, a nie, stolicę mu wezmę i zburzę.

Groicz więc jako poseł tegoż dnia do Bolesława wybierać się począł.

## VII

Niełatwo było Bolesława wyszukać, ale woźnych cesarskich mając z sobą, jadąc jako poseł, Groicz, który spodziewał się i szwagra swojego Borzywoja zastać przy królu, puszczał się śmiało. Wziął z sobą kilkanaście koni i na ośle przed się pojechał, kędy zastyszał, że największe siły być miały.

Rankiem wyruszywszy z obozu, wkrótce znalazł się w puszczy, a i mili nią nie ujechawszy, został oskoczony. Zatrąbiono wołając, że poseł jest do króla od cesarza jadący na rozmowę. Kupka ludzi jezdnych, która otoczyła Wiprechta, nie czyniąc mu nic złego, ofiarowała się prowadzić. Zapowiadano, że król był

niedaleko, ale musiał dalej pewnie odciągnąć, bo na równi się z wojskiem cesarskim posuwał, aby go nie tracić z oczów.

Miał Groicz sposobność w podróży porównać wojsko swe z tymi, których teraz ujrzał przed sobą. W porównaniu do cesarskich Polacy, nawet Żemła, który oddziałem dowodził, niepocześnie byli uzbrojeni i nie obarczeni żelazem. Ale lud był krzepki, ochoczy, wesoły, silny i odważny. Żadnego z nich prawie nie było, któremu by coś nie brakło. Jeden rękę miał na pół odrąbaną, drugi twarz przeplataną, inny nogę krótszą od rany, niektórzy kresy na policzkach, oczy powybijane, wargi porozcinane. A ludzie byli młodzi lub średniego wieku. Owych misternych koszul żelaznych, plecionych, których zaczynano używać, nie widać na nich było, ni zbyt osobliwego oręża. Hełmy stare, z nosami żelaznymi, u drugich i skórzane szłyki z obręczami, pancerzyska ledwie ochłapy.

Sam wódz lekką łuskową zbroją był okryty i to nie żelazną, ale z rogu wyrobioną, wielu ze skór grubych polepione mieli kaftany. Oszczepy ciężkie, grube, proce lada jakie, miecze staroświeckie, krótkie, obosieczne, łuki niewykwintne, kołczany z łubu lipowego. Pięknego pozoru to nie miało, mizernie się wydawało gościowi, ale w tych łachmanach i rupieciach ludzie siedzieli straszni. W podróży cisnął któryś toporem na zwierza i ubił go nim.

Jechali, prowadząc Groicza lasem gęstym bez drogi, przepływając przez strumienie, przebierając się bokami trzęsawisk, kręcąc w prawo i lewo. Kilku z nich przodem pobiegło króla szukać i oznajmić mu. Groicz jechał z wolna.

Obiecywano mu Bolesława wieczorem lub nocą. Przed wieczorem stanęli na łące pod lasem, koniom wypocząć, i mieli już ciągnąć dalej, gdy tętent szybki się dał

słyszeć.

Ludzi ze dwóchset, podobnych do tych, którzy Wiprechtowi towarzyszyli, nadbiegło żywo. Pośrodku między nimi poznał lub raczej domyślił się króla Bolesława, bo przy jego boku i Borzywój jechał. Za nim Skarbimierz Jednooki, Żelisław Bezręki i kilku starszych, dwór i drużyna. Ci wszyscy piękniej byli zbrojni, lecz i na nich nic nie świeciło, prócz na królu łańcuch z wizerunkiem ojca, którego on nigdy nie zrzucił.

Groicz zsiadł z konia i poszedł zaraz pozdrowić króla. Mylił się, sądząc zrazu z gotowości do rozmowy, iż go najazdem znajdzie strwożonym i gotowym do układów. Pozdrowili się po rycersku.

Król pod dębami już z liśćmi na pół

opadłymi kazał rozbić mały namiocik, tak lichy, że go za nim na koniu wieziono.

W mgnieniu oka czeladź płótno rozpięła. Weszli doń wszyscy ze starszyny, a tuż się chleb, wino, mięso i co żołnierzowi dla nasycenia głodu potrzebne, znalazło.

Król Bolesław wpatrującemu się weń Groiczowi zdał się tak dobrej myśli, iż jemu odeszła wielka otucha, z jaką przybył. Borzywój też, z którym się szwagier po bratersku pozdrowił, niezbyt przybitym był i chmurnym.

Nim do rozmowy z królem przyszło, szwagrowie z sobą na uboczu,

wyszędłszy za namiot, poszeptali.

— Pomóżcie mi — rzekł Groicz do Borzywój a — aby się stała wola

cesarska, a i Wy na tym zyszczecie, przemówię za Wami. Bolesławowi grozi, jeśli się nie ugodzi, że mu cesarz państwo odbierze.

Dobroduszny Czech pokręcił głową, podniósł ręce i oczy w górę i szepnął:

— A ja co mogę?

Borzywój w istocie przewagi tu i głosu nie miał, jak go i w kraju niegdy utrzymać nie mógł. Weszli do namiotu na rozmowę.

— Miłościwy Panie — odezwał się Groicz — cesarz, a pan mój, na Kraków stolicę Waszą wprost idzie, postanowił wziąć ją Wam i zniszczyć, gdyż srodze rozżalony jest na Was. Ratujcie siebie i państwo, dajcie jaki taki udział w ziemi Zbigniewowi, a nam trzysta grzywien dani, zgodę uczynimy.

Nim król miał czas odpowiedzieć, jednooki Skarbimierz wtrącił ponuro:

— O księciu Zbigniewie ani słuchać nie możemy.

— A ja za pokój ani szeląga nie zapłacę, chociaż go pragnę — odezwał się Bolko. — Bóg mi świadkiem, wolę jako rycerz ginąć niż żyć jako niewolnik.

— Dań cesarzowi przecież niewolą nie jest — odezwał się Groicz. — Tak samo jak cały świat papieżowi podlega i cesarzowi też wszystkie ziemie dań są winne.

— Niemieckie — dodał król — nasze nie. Rzymowi podlegli jesteśmy, bo na stolicy namiestnik Chrystusowy zasiada, cesarzowi nie poddamy się nigdy.

Zakłopotał się mocno poseł tak stanowczą odpowiedzią, lecz pierwszą tą odmową nie zraziwszy zupełnie, powolniej nastawać zaczął.

Król słuchał, lecz jedno miał na ustach:

— Nie może to być. W domu u siebie ja sobie cesarzem jestem. Gdybym nad sobą innego miał, królem a panem nie byłbym, ale sługą.

Na próżno gardłował Niemiec, król śmiać się począł wreszcie i z ukosa nań patrząc, odezwał się:

— Wojujcie, próbujcie siły! Niechaj wola Boża rozstrzyga między nami! Na Kraków idźcie, ja bronić będę, jak zdołam!

Znużyli się do nocy rozprawianiem napróżnym. Borzywój nareszcie szwagra odciągnął na stronę.

— Wy z nim nic nie uczynicie — rzekł. — Z nas tu wszystkich żaden nad nim siły nie ma, jednemu Skarbimierzowi wierzy i czasem go słucha. Gdybyście jego z sobą jako posła do cesarza zabrali, a napatrzył się tam siły i potęgi pana, Henryk by go może darami i łaskawością mógł zjednać. Kto wie, może by na jaką przystali ugodę. Danina mała jest, a spokój drogi.

Tak nic nie uczyniwszy, Groicz nazajutrz o świcie, gdy do pożegnania przyszło, rzekł:

— Miłościwy Panie, gdy odpowiedź Waszą cesarzowi odniosę, boję się, iż mi wiary nie da. Wyprawcie posła ze mną od siebie, który by sam wolę Waszą oświadczył. Palatyn Skarbimierz ma pewne zaufanie Wasze, każcie mu jechać ze mną.

— Prawa to ręka moja — odparł Bolko — niechętnie ją i na jeden dzień odjąć dam sobie. Ale trzebali, powolnym będę, pojedzie z Wami.

Stało się więc, jak Borzywój podszeptał po cichu, Skarbimierz we

dwadzieścia najlepszych ludzi i koni wybrał się natychmiast z Groiczem. Pożegnali się rycersko, król wesoło sobie żartował z własnego wojska i z ufców Henryka, a dobrej myśli był, jak by po odniesionym zwycięstwie.

W podróży dwaj wodzowie nieprzyjacielscy zbliżyli się nieco ku sobie, a Groicz mimo woli może wydał z wielkim znużeniem. Gdy lepiej poznał

Skarbimierza, przekonał się, że był za twardym do ujęcia, za dumnym do złagodzenia uprzejmością, za rycerskim, aby dał się przekupić. Ale na dworze i w otoczeniu Henryka V wszystko się na grzywny złote i srebrne obliczało, bo i cesarz sam za nie gotów był oddać wszystko, pomyślał więc Wiprecht, że może i Skarbimierza, choć drogo, kupić będzie można.

Obóz cesarski jeszcze się był nie ruszył z miejsca, na którym go zostawili, gdy Groicz z posłem powrócił. W namiocie swym pozostawiwszy Skarbimierza i dwór jego powierzywszy straży, sam poszedł naprzód do cesarza. Ranek był

właśnie. Po krótkim oczekiwaniu Groicz uroczyście wprowadził posła przed Henryka V. Po drodze stało mnóstwo ludzi rycerskich, którzy mu się



przypatrywali, bo o tym jednookim wodzu, co i na Morawach, i w Pomorzu się wstawiał, słyszano wiele.

Rycerska była postawa człowieka, ale nie strojna i nie błyszcząca niczym.

Zbroja na nim gruba, miecz z rękojeścią żelazną, pas nieozdobny, hełm pobity, kaftan prosty, płaszcz szwarzany, wcale wspaniale nie wyglądały. Jak przybył, tak otarłszy się tylko z kurzawy i błota, przed cesarza szedł. Jedyłą ozdobą był na drugim palcu prawej ręki pierścień drogi, dar królewski. Rubin wielki jak wołowe oko i jak ono okrągło wytoczony siedział w nim złotą, grubą objęty przepaską.

Cesarz, nim przypuścił posła, przysposobił się na jego przyjęcie, z całym majestatem i przepychem występując, który go w podróży otaczał. Stanęli dokoła namiotów rycerze w hełmach całych, w zbrojach świetnych, w pasach złocistych, w szatach bławatnych, na których piersi godła różne wyszywane były barwami.

Wystawiono chorągwie przed namiotami. Służba i dworzanie cesarscy:

chorążowie, podkomorzowie, cześnicy, miecznik cesarski, woźni w świątecznych szatach, wszyscy z oznakami godności swych, w purpurze i złocie, otaczali Henryka, który przywdział też strój rycerski. Przypasał miecz, okrył się płaszczem szkarłatnym i z powagą a surowością zasiadł na przenośnym krześle tronowym, dokoła mając starszyzną swoją.

Szedł tak Skarbimierz wśród dwu szeregów pozłocistych rycerzy, grafów i panów, śmiało wodząc oczyma i nie wstydząc się wcale ani prostej swej odzieży, ani wytartej zbroiczki. Wszystka ta wspaniałość straconą dlań była, bo wobec niej wyżej jeszcze podnosił głowę i jedynym swym okiem otwartym dumnie a obojętnie spoglądał na przepych ten, rozumiejąc dobrze, dlaczego na pokaz go wywiedziono.

Groicz poprzedzał go, aby wprowadzić przed pana. Wkroczyli razem do wspaniałego, rozległego namiotu, do tej części właśnie, w której od złotych naczyń, sreber i kosztowności blask bił wielki jak w kościele od ołtarza.

Cesarska twarz namaszczona i groźna nie ustraszyła też posła, a gdy Groicz poselstwo swe odprawił, Skarbimierz potwierdził je krótkimi słowy, nie jak kanclerz lub kleryk, który wymowy zażywa umiejętnie i popisuje się z nią rad, ale jak żołnierz, co słowo niewiele waży, a pięknie go dobierać na wiązankę trefną nie zadaje sobie pracy.

Cesarz odezwał się zaraz, w początku groźnie, iż na Kraków wnet ciągnąć będzie, że zuchwalstwu nie przebaczy, lecz mowa ta żadnego nie uczyniła wrażenia na starym żołnierzu. Słuchał jej milcząco, nie okazując, by brał do serca.

Po cesarzu odzywali się inni, wystąpił kanclerz i kapelan Henryka Wigand, w imię religii i Kościoła skłaniając do posłuszeństwa, które ci, co ulegali głowie jego w Rzymie, papieżowi, winni też byli i cesarzowi.

Na to odpowiedział Skarbimierz, iż posłem jest, a nie władcą tu sprawą, więcej nie mogąc oddać

nad to, co mu do zaniesienia powierzono.

Wśród tej rozmowy na skinienie cesarskie poczęli się z wolna z tej części namiotu cofać do drugiej wszyscy przytomni, tak że po chwili Henryk sam pozostał

ze. Skarbimierzem i powstawszy z siedzenia, przybliżył się do niego.

— Palatynie — rzekł do niego głosem łagodniejszym — na próżno staracie się umniejszyć znaczenie Wasze, a skromnym się czynicie posłem. Wiedzą ludzie, jak u swojego pana stoicie i że wiele nad jego umysłem możecie. Czyńcie, proszę, co dla pokoju i zgody potrzebne, my Wam zawdzięczyć potrafimy.

To mówiąc cesarz zwrócił się ku głębi namiotu, gdzie stały skrzynie jego podróżne, naładowane srebrem, złotem i klejnotami, i ku nim Skarbimierza poprowadził.

— Nie sądźcie — rzekł — abym był tak waszych trzechset grzywien

pożądliwy albo na zdobycz chciwy. Mam bogactw podostatkiem. Nie żałowałbym ich dla czci korony mojej. Patrzcie — dodał, wskazując na otwarte skrzynie — to są tylko moje podróżne zapasy, a jest tego pewnie przecie więcej niż u was?

Skarbimierz, któremu ta mowa, sam na sam, w cztery oczy rozpoczęta przez Henryka, zdała się pokuszeniem o przekupienie go, zarumienił się i zafrasował, zburzony, wahając, co odpowie. Myślał, jak by pogardę dla tego złota miał okazać, gdy oko jego padło na ów pierścień, na te czasy kosztowny i drogi, który miał na palcu. Szybko zdjął go z ręki i z uśmiechem, w silnej dłoni łamiąc go na dwoje, zawołał, do skrzyni rzucając:

— My, Miłościwy Cesarzu, wyżej cześć i pocziwość cenimy nad złoto.

Złoto niech idzie do złota!

I pierścień potoczył się na złocistą misę, z której czerwonym okiem zdał się cesarzowi urągać. Henryk stanął zdumiony mocno i po chwili namysłu zamruczał

półgłosem:

— *Hab Dank* (Dziękuję).

O przekupieniu tego człowieka już więc pomyśleć nie było podobna. Cesarz powrócił na swe siedzenie, a wkrótce Skarbimierz, pokłoniwszy mu się, pożegnał

go.

Nie zatrzymując się już potem w obozie, nie chcąc z nikim mówić więcej, choć mu się różni narzucali, poszedł Skarbimierz oburzony wielce do koni swych, ludziom siadać kazał i wyciągnął z obozu bez przeszkody, ciekawymi ścigany oczyma. Jednego mu człeka zabrakło, lecz gdy na próżno wołano i szukano, czekać nań nie mógł, ruszyli więc bez niego.

Po odjeździe posła cesarz gniewniejszy był jeszcze niż przedtem.

Podziękował za pierścień rzucony, ale nim jak kamieniem w piersi cisnął mu ten człowiek. Nie było już co czynić, musiano ciągnąć pod Wrocław.

Wojsko ustawicznie napastowane, Sasi, Frankowie, Czesi skarżyli się, przeklinali tę wyprawę coraz głośniejsze. Pochód coraz cięższym się stawał. Zamiast łupów spodziewanych na wozach wieziono trupy znakomitszych rycerzy, których chować na obcej ziemi nie chciano. Czarnym sukniem pookrywane wozy te ciągnęły za obozem jak nieustanne klęski i strat przypomnienie. Kto spojrzał na nie, ścisnęło mu się serce, a wielu mruczało, że gdy się dalej posuną, i ich ten sam los spotkać może.

Tak wojsko Henryka i Czesi, wlokąc się niechętnie, coraz urywane po bokach i niepokozone, przybyło na szerokie pola pod Wrocławiem. Tu się położyć miano dla wypoczynku, bo żołnierz był i znużony, i zniechęcony, a Bolesława oddziały coraz bliżej, gęściej, śmielej nacierały. Zabierano się wrzekomo do oblegania grodu, w istocie nie wiedząc, co czynić, bo o odwrocie więcej myślano pono niż o dalszym pochodzie, gdy nowy cios dotknął wojska sprzymierzone.

Z rodziny Wrszowiców — którą Swiatopług w Czechach wytępił,

rozkazawszy zamordować Mutynę, Unisława, Domasława, Wakulę, Krasę,

Neceszę, Borzytę — uszło kilku do Polski. Z dawniej tu osiadłych Wrszowców był

przy Bolesławie Jan, syn Czystego, człek w sile wieku, męstwa wielkiego, który o zgnębieniu rodziny swej krwawo wymordowanej słysząc, zemstę poprzysiął

Swiatopługowi. Jan ten, gdy się Skarbimierz do cesarza wybierał, potajemnie się przyłączył do jego orszaku. Nie zważał nań nikt, aż gdy się już oddalił, postrzeżono, że jednego z ludzi nie stało. Gdy król o niego dopytywał, z drużyny niektórzy opowiadać zaczęli, że zaklął się zgładzić Swiatopługa, a pomścić krwi własnej. Po powrocie Skarbimierza zapytano wnet o Jana Rawicza, ale w orszaku go już nie było. Co się z nim stało, nikt nie wiedział. Ci, co z nim byli, mówili, że do obozu czeskiego poszedł, a gdy odjeżdżać przyszło, ani go zwołać, ni znaleźć nie mogli. Lękano się, czy go poznawszy jako Wrszowica, nie ubili nieprzyjaciele rodu. Jan tymczasem pomiędzy Czechów Swiatopługa wpadłszy, że się tam nie wszyscy znali, udawał, jak by do wojska należał. Nikt go nie poznał ni się domyślał, po co przychodził. Wcisnął się między dwór i czekał sposobności.

Dnia 21 września, gdy w obozie radzono znowu i wszyscy się wodzowie do cesarza zbierali, jechał na mulicy swej Swiatopług lekko uzbrojony, aby też do rady należeć. Pełno było ludu około namiotów, zgłęb wielki, gwar ogromny, wszystkimi języki wołano, krzyczano, sprzeczano się. Swiatopług, przez tłum żołnierzy, przekupniów obozowych i czeladzi nie mogąc się przecisnąć, przystanął

nico, prawie pod samym cesarskim namiotem, gdy pieszy człek, z boku zaszedłszy, nagle podniósł oszczep okuty i żgnął go nim w bok tak silnie, iż przebił

na wylot. Swiatopług, krzyknąwszy ledwie, z siodła na ziemię się obalił. Jeszcze ludzie dokoła

stojący opamiętać się nie mogli, co się stało, gdy Jan Rawicz, konia stojącego dopadłszy, puścił się w obóz uciekać. Drudzy też konie chwycili, aby w pogoń iść za nim, ale zrazu ich wyścignął, potem, co się który zbliżył, rąbał tak, iż kilku padło, a reszta do zarośli go doprowadziwszy, wróciła z niczym.

W cesarskim i czeskim obozie stał się popłoch, poruszenie, wzburzenie niewypowiedziane. Nadbiegł strwożony Zbigniew, ręce łamiąc, głośno Bolesława oskarżając o tę sprawę zemsty.

Groicz pospieszył dać znać cesarzowi, a tu całe niemal wojsko czeskie zerwało się, naciskając się ku zwłokom pana, leżącym jeszcze na ziemi z ową włócznią w boku, bez duszy, wśród krwi, kałużą stojącej dokoła. Lament się stał

straszny, wołanie, wrzawa, krzyki, ludzie potracili głowy. Chwycono zwłoki, aby je poczestnie do namiotu odnieść. Za nimi, co żyło Czechów, cisnęło się w rozpacz i trwodze. Ci, co za Swiatopługiem zabitym przeciw Borzywojowi trzymali, już go widzieli na tronie, a na pniu głowy swoje.

Gdy cesarzowi znać dano o czynie zuchwałym, którego sprawca wśród dnia białego, z pośrodku obozu ujść zdołał, Henryk V struchlał, wierzyć nie chcąc wieści. Lecz krzyki, zawodzenie, płacze, przekleństwa do namiotu dochodziły.

Niekiedy razem z tysiąców piersi dobywał się jeden wrzask dziki. Umysły coraz straszliwiej się burzyły, zaczęli wołać Czesi, że chcą precz nazad iść do domu, aby Borzywojowi drogę zaprzec do Pragi. Ani Groicz, ani starszyzna czeska ludu uspokoić nie mogła, nie słuchano nikogo. Musiał wreszcie sam cesarz z dworem swym wyjść dla uśmierzenia żołnierzy i oddania czci zwłokom swojego sprzymierzeńca.

Zbigniew skrył się i płakał z rozpacz i złości. Zdało mu się, że i on już tu życia pewnym nie był.

W obozie posądzano wszystkich, nawet Groicza, który w pierwszej chwili zaraz szwagra Borzywoja cesarzowi przypomniał. Do zburzonych Czechów przybywszy, cesarz widząc, że ich nawet jego przytomność i powaga nie zdoła poskromić, o Borzywoju zapomniawszy, musiał dla uśmierzenia zburzonych umysłów przyrzec starszyźnie, że jej wybór wolny przyszłego króla zostawi.

Co się dnia tego, nocy i następnego rana w obozach działo, opisać

niepodobna. Nie ma bo może straszniejszego widoku, jak gdy się czerń i zdziczały żołnierz rozprzęże, posłuszeństwo wymówi i jak fala morska rzucać pocznie, gdy słowo jedno nim miota to w tę, to w ową stronę, gdy sam on wreszcie nie wie, gdzie leci i co czyni. Niemców też ogarniała trwoga, patrząc na to obozowisko, na którym kupy ludu rozpasanego to się zbiegały, to rozpraszały, zajadały wzajem, zrywały ku sobie i uspokoić nie mogąc, wrzaskiem napełniały dolinę. W pośrodku ów namiot z marami i ciałem leżącym na nich, około którego płonęły pochodnie, płakała służba. Nieład, narzekanie, ścisk dopełniał obrazu. Nie opodal widać było i te wozy żałobne, czarne, z trupami spod Bytomia i Głogowa, a w dali gród zaparty, pustynię i za nią ściany borów, w których wróg czyhał ukryty.

Tejże nocy napadnięto na obóz czeski. Padło kilkadziesiąt ludzi ofiarą, a gdy cesarscy w pomoc biegli, z drugiej strony na ich namioty wtargnęła jakaś kupka, powywracała je i nabiła czeladzi.

Cesarz nie tylko stracił już nadzieję zwycięstwa, ale nawet

bezpieczeństwo odwrotu. Bolesław śmielszy coraz, na groblach, w lasach i błotach ścigając go, mógł wybić do szczętu. Już nie o walkę szło, ale o uratowanie życia z tych zasieków.

Zbigniew ukazać się nigdzie nie mógł, mówić z nim nikt nie chciał, ukrywać się musiał. Wymowny i zręczny, teraz języka w ustach zapomniał i pokornie stał, tuląc się kątami, aby go jak Światopługa nie ubito. W każdym nieznajomym widział nasadzonego zbójcę.

Gdy się nad ranem cokolwiek uspokoiło w obozie, szedł cesarz powtórnie do zwłok modlić się i przytomnością swoją żale i niepokój poskramiać. Tu mu przed namiotem żałobnym zaszedł hrabia Wacek, przyjaciel zabitego, oświadczając, iż wojsko całe zgodnie Ottona, brata Światopługowego, królem okrzyknęło.

Zwrócił się cesarz ku Czechom, a wtem imię Ottona obwoływać poczęto.

Henryk V skinieniem głowy potwierdzał. Trzykrotnie więc, wedle obyczaju, tłumy powtórzyły:

— *Hospodi, pomiluj ny!* (Boże zmiłuj się nad nami!)

Wybór ten uroczysty trwałym jednak być nie miał. Tymczasem nie o to szło, kto wybranym zostanie, bo dla cesarza było to obojętnym, ale by Czechów utrzymać w obozie. Od pierwszej chwili rwali się do Pragi, chcieli uchodzić, a przestraszeni Niemcy, których siły przez to uszczuplić się miały, zagrożeni odstąpieniem tych, co najlepiej kraj znali, gotowi byli na wszystko, byle sprzymierzeńców zachować.

Zszedł dzień cały na upornych naleganiach, na daremnych poselstwach, na targach bez skutku. Osierocona Praga ciągnęła Czechów, nie mogli, nie śmieli pozostać. Zbigniew zasłyszawszy o tym, do Detryszka pobiegł błagać, aby go nie opuszczano. Ale o zbiega nikt się nie troszczył. Pilniejsze miano sprawy, odwracali się wszyscy. Wielkimi obietnicami i zakłęciami zaledwie wymodlić zdołał, że go zabrać obiecano, jeśliby wojsko precz odchodzić miało. Na oczy cesarzowi pokazywać się nie śmiał, bo widok jego Henryka V do strasznego obudzał gniewu.

Na próżno Groicz i inni panowie latali ze słowy cesarskimi do obozu czeskiego, zwijano namioty, ściągano wozy i nazajutrz o świcie Czesi zabierali się odchodzić, pozostawiając cesarza i Niemców wśród tej pustyni samych, na łup ośmielonemu Bolkowi. Czuwanie tak wielkie opasywało ich dokoła, iż wyjście Czechów jedną godzinę utaić się nie mogło; w ślad za tym Polacy musieli napaść na cesarskich.

Mrocznego poranku ruszyli Czesi z miejsc, które zajmowali, nie tak, jak szli na Polskę, ze wrzawą, śmiechami i odgrózkami, ale z żałobą, ze zwiniętymi proporczykami, znużeni, wybladli, smutni i w wielkiej części pieszo, postradawszy konie. Jako owoce napadu wieźli na wozach trupy, a na jednym z nich, otoczonym starszyzną, stały mary czarno pokryte, z ciałem Światopługowym. Tu jechał

Detryszek i przy nim zakapturzony Zbigniew. Księża śpiewali psalmy, wojsko szło jak za pogrzebem. Dano mu spokój do granicy i nikt uchodzących nie napadał.

Strwożony i blady cesarz z namiotu patrzył na te tłumy, co go opuszczały.

— Co teraz poczniemy? — spytał Groicza.

— Musimy to, co i oni zrobić — odpowiedział Wiprecht. — Pod niefortunną gwiazdą rozpoczętą wyprawę powetujemy później, dziś i my uchodzić musimy.

W duchu pomyślał może Henryk V, iż się rychlej drugi raz na Włochy

wyberze niż w te pustynie, w których życie dać trzeba, a wziąć nie ma co, oprócz sromu.

Wieczorem przed odjazdem z pokorą wielką Zbigniew się dostał do

cesarskiego namiotu, choć go podkomorzowie puszczać nie chcieli. Musiał

pożegnać Henryka. Zobaczywszy go u progu, zwrócił się cesarz ze zwykłymi wymówkami i gniewem:

— Gdzie Wasi poplecznicy i przyjaciele? Gdzie ci, co się to Wam poddawać mieli? Jeżeli nie jesteście zdrajcą, to kłamcą pewnie. Gdybyście mieli tu swoich, czyżbyście uchodzili z Czechami?

Rzucił ręką.

— Od zbójców, nasadzonych przez Bolesława, życie muszę unosić — rzekł

Zbigniew — aby mi się to, co Światopługowi nie stało. Wrócę czasu

pogodniejszego!

Szydersko się rozśmiał Henryk.

— Wróćcie sami — zawołał — bo ani ja, ani Czesi nie pójdą dla sprawy Waszej w bagnach tych śmierdzących grzęznąć!

Cesarz odwrócił się, nie skinąwszy nawet, wyszedł do drugiej części namiotu i zasłonę za sobą zapuścił. Takie było jego ze Zbigniewem pożegnanie.

# VIII

Dzień cały po odejściu Czechów leżał obóz na słońcu jesiennej jakby wymarły. Opodal nieco konni na czatach stali w wodzie, spoglądając ku lasom.

Obmokłe namioty wyglądały brudno, proporczyki i chorągwie grafów, rycerzy i panów, powieszane na drzewcach, przestały powiewać wesoło. Nie słychać było szczęku ani rżenia koni, które głodne na próżno paszy szukały.

Czaty przed obozem i ludzie, z namiotów wystawiając głowy, w lasy

patrzyli. W tych czarnych lasach jak w twierdzach niezdobytych kryła się niewidoma Bolesława potęga. Co się w nich działo, nie wiedział nikt. Słuchy chodziły po obozie, że król nawet prostą czerń pędził do wojska, aby powiększył

jego siłę, że Ruś już nadciągała.

Z niewoli się wydobywszy Niemiec, który pieszo się przywłókł do obozu, opowiadał o ogromnych tłumach, skupionych od granic wszystkich ziem, od Pomorza, z Gniezna, Krakowa, ze wszystkich zamków oddalonych, które położenie samo broniło.

Po odejściu Czechów rachowano, że Bolesław dwakroć miał więcej od

cesarza. Rycerstwo się tym uspokoiło, że choćby mrowia tego było wiele, źle zbrojne chłopstwo łatwo by pokonali cesarscy; zresztą owi Sasi, Frankowie, Alemeni, Turyni bodaj z przeważającą siłą gotowi byli się potykać, byle się raz ta nieszczęsna skończyła wyprawa. Marli głodem, padali od bezsenności, chorowali od słoty i błota.

A dokoła nie widać było nic, stały lasy ciche w barwach jesiennych, pola bezbarwne, stratowane i zbite, błota rozkisłe i rozlane szeroko. Na pustym obozowisku, po Czechach pozostałym, końskie kościotrupy ogryzały kruki, walcząc o nie z psami, których gromady wypędzone z Wrocławia, aby ich żywić nie było potrzeba, włóczyły się błędne za namiotami, a gdy noc nadeszła, wyły trwogą, jak by klęskę zapowiadały.

Czasem z namiotów wyrwał się rozwścieczony żołnierz i wypadłszy na tę zgraję złowrogą, odegnał ją precz. Siadała opodal na wzgórzach i zawodziła straszniej jeszcze. Wycie to, rozlegające się po nocach, zdawało się wychodzić spod ziemi, ryczało z wiatrem do wtóru, rychotało niby śmiechem szyerskim. W

nocy, gdy się nieco uciszyło, obozowe czaty dalej wysunięte słyszały coś jakby stłumiony gwar dokoła. Szumiały to puszcze, czy zmawiali się ludzie? Szmer ten odzywał się niekiedy z boku, zachodził z przodu i znowu kołem zataczał się w stronę przeciwną. Zdało się, jak by cicho szły gromady, jak by tętniały końskie kopyta, ale nic widać nie było.

Najśmielsi rycerze, pod namiotami leżąc zbrojni na pół, ledwie cokolwiek pancerzom popuściwszy rzemieni, nie mogąc usnąć, czuli dreszcze przechodzące po skórze, trwogę, jak by na nich wiało

śmiercią. Przed oczyma ich, patrzącymi w nieprzebite ciemności, przeciągał pochód żałobny Czechów, włókł się i nie widać było końca. Czarne wozy szły, mrok jedne okrywał, drugie z ciemności wypływały, przesuwały się, niknęły wśród nocy, a z otchłani czarnych wychodziły nowe i przeciągały powoli, aż do dnia. Śpiew żałobny księży powtarzał wiatr jesienny. Nie było i jednego namiotu, w którym by się teraz weselej zabawiano, jak to bywało, gdy z dobrą nadzieją zaciągano pod mury Głogowa. Na próżno który z rozpaczy resztkami wina się raczył, aby sen nim sprowadzić; napój korzeniami zaprawny poruszał w głowie też same myśli, co w niej wprzód gościły, roily się tylko i mąciły dziwniej jeszcze. Pobożniejsi do modlitw się uciekali, aby ich Bóg co rychlej wyzwolił z tych obrzydłych moczarów.

Długo w noc cesarz naradzał się z Groiczem, który jeden cokolwiek lepiej znał te kraje i mógł obmyśleć, jak z nich wyniść cało. Chciał Henryk V, aby go w jakikolwiek zmuszono sposób do odwrotu, ocalając mu wstyd dobrowolnej ucieczki, nie pragnął już nic, tylko się dobyć stąd ku Łużycom i lasom. Sasi też wzdychali do tego.

Gdy nad rankiem wycie psów ustało nieco, a słota z wichrem na lasy się poniosła, w mrokach nadchodzącego dnia zdało się czatom obozowym, jak by te lasy, co opodal stały, zbliżyły się ku nim. Ściany jakieś ciemne, nieruchome, ciasno ich opasywały dokoła. Mrok nie dawał ich dobrze rozeznąć. Niektórzy, wpatrując się kocimi oczyma w dal mroczną, dojrzeli, że ten las poruszać się zdawał, szedł, przysuwał w milczeniu.

Nie wierzyli oczom swym jeszcze. Wtem z boku w rogi uderzono na trwogę.

Ten jęk powtórzyło wnet mnóstwo trębaczy. Spod namiotów wyskoczyli żołnierze, starszyzna dosiadła gotowych koni. Nie widać nic jeszcze było, jak by daremnie uderzono na trwogę. Wśród ciszy słyszeli tylko niby tchnienie jakiejs piersi jednej potwora, a oddech ten głuchy, niewyraźny ze wszech stron nadpływał, jak by olbrzymia rozwarła się gdzieś paszczęka, na pochłonięcie wojska tego dysząc głodna.

Dzień się robił. Zza obłoków gęstych, szarych, osłaniających niebiosa, światło się przeciskało blade, skąpe, stłumione. Czaty już mogły dojrzeć na ścianach ruchomych migające białe, ludzkie twarze.

Co żyło w obozie cesarskim, powstało, gotując się przeciw temu

nieprzyjacielowi milczącemu, który szedł albo raczej podkradał się, tym straszniejszy, że głosu i szmeru nawet nie wydał jeszcze.

Od strony zamku wrocławskiego coś się też poruszało, otwarły się wrota i z nich niby czarny wąż, najeżony kolcami, długim cielskiem wysunęła się milcząca gadzina, pełznąca ku obozowi. Wojsko to było.

W obozie rogi nawoływały coraz głośniejsz, starszyzna latała między

namiotami, krzyząc: — Na konie! — Cesarzowi już nawet prowadzono konia jego, żelazną pokrytego siatką, dwór jego z kopiami świecącymi ustawiał się dokoła. Proporce i chorągwie obmokłe potrząsano próżno, wrywając z ziemi, opadały, jak by się wstydziły pokazać swych twarzy.



Ściany czarne ze wszech stron ogarniały obóz. Teraz już je rozemnić było można. Tłum znaczny ściśniętych, tarczami wielkimi okrytych ludzi posuwał się z jednej strony, tłum wielki jeźdźców zbliżał się z drugiej. Pomiędzy nimi, nieco w głębi, jeżyły się włócznie i wiała chorągiew z krzyżem.

Wojsko cesarskie szykowało się do boju, ze trzech stron stawiać czoło nieprzyjacielowi, który tak powoli szedł, że się stać zdawał. Nagle i tam piskliwe rogi odzywać się zaczęły, ściana się ruszyła żywiej.

Z pagórka, na którym cesarz stał, widać było daleko, a jak zajrzeć mogli ci, co najlepsze oczy mieli, widzieli gęste szeregi pieszych, zbite w jedno ciało niezmierne, i konnych ponad nimi oddziały mnogie. Wprawdzie nie błyszczały tam zbroje, żelaza widać było mało, strojów wytwornych nigdzie, szaro, czarno, brunatno, jak mrowie pełzły te zastępy. — Czerń i chłopstwo! — mrużeli z pogardą rycerze. Z cesarskiej strony bojowy okrzyk wydali naprzód Sasi, radzi będąc, że się mają z kim bić.

Zwały się najpierwsze boki i jak by w jedną zwały bryłę. Padł szereg jeden i drugi cisnących się tarczowników od włóczni cesarskich ludzi, ale wnet i konie a ciężko zbrojni rycerze walić się o ziemię zaczęli. Który z nich padł, ten już nie powstał. Czerń szła na nowe szeregi. Padała, na nią waliły się niemieckie ufcy z łoskotem strasznym i słały na ziemi na trupie posłanie.

Wtem zastęp, który szedł głęboko w pośrodku oskrzydłony, puścił się jak burza na czoło cesarskich wojsk. Tu i zbroje, i włócznie żelazne lśniły, i lud był

najsilniejszy, tu (domyślano się) król być musiał i wodzowie jego.

Wpadli jak ogromny klin żelazny, gdy ma dębową kłodę rozsadzić. Oстрыm końcem wbili się wśród rycerzy cesarskich, obalili ich, wcisnęli się między szeregi, rozłamali je na dwoje, poczęli rozsadzać coraz szerzej i obalać jak wichur puszczę, gdy się w nią wedrze.

Cesarz pod hełmem zbladł trupio. Około niego cisnąć się poczęło, co najsilniejszego miał, aby go od niebezpieczeństwa osłonić.

Pobojowisko wkrótce zmieniło się w jakiś straszny barłóg trupów,

zmieszanych ludzi i koni, ponad którymi zwijały się gromady lekko zbrojnych, rozszalałych, jak śmierć niezwyciężonych napastników. Padali jedni, z ziemi wyrastali zastępy.

Stojący przy cesarzu poczęli namawiać go, aby w bezpieczniejsze miejsce uchodził. Cofano się ufcem zwartym. Groicz pobiegł zbierać i gromadzić reszty ludzi, aby ich ocalić.

Zwycięstwo nie było już wątpliwe. Z cesarskich wojsk ledwie część ocalała, zebrawszy się przy nim, i uszła w dolinę, gdzie naprędce wozy dokoła ustawiać i ostrokoły zabijać zaczęto. Znaczniejsza daleko liczba leżała zgnieciona pokotem z końmi na pobojowisku szerokim, i widać już było czerń mnogą, dobijającą rannych, zdzierającą zbroje, gromadzącą łupy.

Dobrze z południa walka była skończona; resztki wojska nie wiedziały, czy do ostatniego boju wystąpić będą musiały, czy broniąc pana uchodzić. Cesarz zatrzymywał ich przy sobie, nie chcąc się w sromotną dostać niewolę. Chodził po małym namiocie, który dlań rozbito, ręce łamiąc, klnąc i

modląc się na przemiany.

Uczył ślub wielkiego daru dla kościoła w Akwizgranie, jeżeli go Bóg ocali.

Duchowieństwo odprawiło uroczyste modlitwy.

Wiprecht Groicz to ku poboju zbiegał, to do cesarza, dla uspokojenia go, powracał. Ocalała mała gromadka, padły tysiące, a w dali za poboju widać było zatkniętą chorągiew i odpoczywający oddział królewski, który rozbiwszy czoło cesarskich, wywalczył wielkie zwycięstwo. Henryk kazał

przywołać Groicza. Dokoła milcząca stała rada.

— Jedź ty — rzekł — układaj się, jako chcesz, z nimi, bylebym wyszedł stąd cały! Czyń, co można, a ocal cześć cesarskiej korony! Pomszczę się na tym złoczyńcy! Dziś, dziś osobę moją, garść tych rycerzy wiernych, ciała poległych ratować trzeba. Idź! idź!

Zaledwie dziesięciu całych ludzi znaleźć mógł Groicz, aby mu towarzyszyli, trębacza z rogiem wziął, rozkazując jechać przodem z zieloną wierzby uciętą gałęzią. Ruszyli wprost ku chorągwi Bolesławowej powiewającej w dali, na której jednej stronie krzyż, na drugiej rycerz konny ukazywał się na przemiany.

Widok bolesny, a straszny miał Groicz przed oczyma. Przez poboju przejechać nie było można. Pobożność i poszanowanie ciał chrześcijan nie dopuszczała traktować trupów, a minąć ich nie było podobna. Uścielały ziemię, gdzieś leżąc jedne na drugich, jak wał zapierały drogę. Groicz poznawał

twarze przyjaciół zbladłe, które mu się wczoraj śmiały, dłonie martwe, które ścisnął rano. Tłum już poodzierał pobitych, leżały ciała żółte, sine, czarnymi plamami krwi okryte, posieczone i poprzebijane. Koń na człowieku, trup na trupie.

Spod kopyt końskich krew ściekła w kałuże tryskała.

Groicz rzucić się musiał w bok, by nieszczęsne pole owe ominąć. Zbliżał się wieczór, pospieszać było trzeba. Wprawdzie czerń już na pozostałych napadać dziś nie myślała, lecz Bolesławowi żołnierze zdawali się, już wypocząwszy, gotować do nowej walki, taki ruch był około wielkiej chorągwi.

Zjechałszy z poboju, Wiprecht popędził, dając rogiem znać przed sobą, że na rozmowy przybywa. Rycerz konny wybiegł naprzeciwko niego, stanął, czekał.

Skarbimierz to był, cały krwią oplamiony, a z pochew miecza jego zgęśla posoka kroplami ściekała jeszcze. Rozpalony bojem dyszał, strzymując konia, który mu się rwał jak oszalały, nogami ziemię rozbijał, pienił i zdawał się chcieć kasać. Nieco opodał, bez namiotu, otoczonego drużyną widać było stojącego króla Bolesława. Hełm zdjęty trzymał w ręku, włos rozpuszczony na ramiona mu spływał, oko świeciło triumfem. W prawo widać było ołtarz i stojący na nim krzyż, przed którym za

zwycięstwo Bogu dzięki składano.

— Cesarz mnie przysła — odezwał się Groicz — do króla jadę w poselstwie.

Skarbimierz zawrócił z nim razem.

Pomiędzy otaczającymi króla widać było wielu rannych, zawiązywano

krwawe ciosy, poprawiano zbroje. Jedni pili wodę, drudzy konie opatrywali pokaleczone, inni z głośnym krzykiem opowiadali dzieje dnia tego.

Gdy Groicz się przybliżył, Bolesław parę kroków postąpił ku niemu. Poseł w początku przemówić nie mógł.

— Królu — począł tchnąwszy ciężko — Bóg za nasze grzechy dał Wam

zwycięstwo; bądźcie w szczęściu pomiarkowani. Cesarza pokonać możecie, nie pokonacie cesarstwa. Przychodzę do Was pytając, czego chcecie od nas?

Bolesław poważny stał, posępny już prawie. Znikło z twarzy wesele.

— Dla siebie nie chcę nic — rzekł.

— Dacie nam wyjść bezpiecznie? — zapytał poseł.

— Idźcie — odezwał się król — a nie powracajcie. Ziemia to uboga, łupów wam nie da, lud waleczny swobody swej tak bronić będzie, jak dzisiaj. Dla siebie

— powtórzył — nie chcę nic.

— Wspaniałym jesteś, królu, i szlachetnym — rzekł Groicz.

— Jestem rycerzem chrześcijańskim — odezwał się Bolko — leżącego na ziemi nieprzyjaciela nie dobijam. Dla siebie nie chcę nic — powtórzył raz trzeci król — lecz dla Borzywoja, szwagra Waszego, żądam tego, co mu należne: czeskiej korony. Z nim od granicy spokój mieć będę. Groicz pokłonił się.

— Dziękuję Wam — rzekł — czynicie tym i dla mnie łaskę, bratu memu

miłemu wracając dziedzictwo jego. Lecz możliweli to? Wojsko i starszyzna obrała już Ottona.

— A jutro może wybierze Władysława — przerwał Bolko — lecz cesarz ma prawo zwierzchnie nad czeską koroną, może ją dać Borzywojowi.

Wskazał na stojącego obok księcia, który mu się do ręki rzucił wzruszony.

Uściskali się milcząco.

— Cesarz mi to słowem swym uroczystym zaręczy — dodał Bolesław. —

Borzywoj niech jedzie z Wami, słowo to niech weźmie przy świadkach uroczyste.

Potem niech cesarz spokojnie ciągnie przez ziemie moje, nie tknie go nikt. Dostyc już trupów legło.

Ręką wskazał na straszne pobojowisko. Ciemno być zaczynało, poziadali z koni.

— Zbigniew gdzie jest? — zapytał król.

— Uszedł z Czechami za ciałem Światopługa — począł Groicz — ciebie, królu, i Wrszowiców obmawiają o zamordowanie jego.

Bolko głową potrząsnął.

— Wrszowice prawo odwetu mieli — rzekł — wzięli tylko dziesięcinę za krew swoją. Ten, co poszedł wśród obozu cesarskiego zemsty dokonać za ojców i braci, zabójcą się nazwać nie może, ale bohaterem! Życie stawiał za swoich i Bóg mu poszczęścił.

Rozmowa cicha przeciągała się jeszcze, noc tymczasem zapadała. Zabrawszy z sobą Borzywoja i Sobiesława ze dworem ich, Wiprecht odjechał nazad, z dala omijając krwawe pole. Król zarazem wysłał rozkazy do wojska, aby cesarskich napastować się nie ważyli.

Strasznym był widok pobojowiska po dniu, ale stokroć okropniejszy się stał

wieczorem. Czerni powstrzymać nic nie mogło od odzierania trupów; z zażegnietymi gałęzmi i pochodniami chodziła wśród nich, zabierając leżący jeszcze oręż, zbroje i odzież. Czerwone ognie i dymy oświecały białe stosy ciał

powywracanych i odartych.

Psów głodnych gromady, które wyły wczoraj, dziś ścigały się łakome na ścierw koński i na ludzkie ciała, w oczach żywych rozrywać zaczynając ledwo zastygłe trupy. Ujadanie ich słychać było wśród nocy. Odegnane przez ludzi stada te pierzchły ze szczekiem, to wracały, gryząc się jak wściekłe, na pastwę straszną.

Skomlenie, wycie, szczekanie rozlegały się przez noc całą. W milczeniu pominęli jadący owo „**psie pole**”, wielką mogiłę, na której gniew Pański zdawał się mścić najazdu cudzej ziemi.

Nazajutrz pod wodzą Groicza ruszyły niedobitki cesarskie na powrót w milczeniu, wioząc jak Czesi na czarnych wozach ciała dostojniejszych rycerzy.

Była to jedyna zdobycz z tej wyprawy pamiętnej, o której dzieje cesarskie zamilczeć wołały.

Zbigniew w Czechach szukał schronienia. Dał mu je po Ottonie wybrany Władysław, który mimo

słowa danego Borzywojowi przez cesarza na tronie się utrzymał. Henryk mógł tylko dla obu wygnanych, Borzywoja i Sobiesława, wyjednać przebaczenie i małe dzielnice.

Gdy się o to układano, przypadł i Zbigniew błagając, aby mu Bolesław dał przynajmniej taki udział, jaki Borzywoj otrzymał.

Opierali się temu panowie. Szlachetny Bolesław uległ raz jeszcze.

Wyznaczono mu małą dzielnicę i zamek, w którym by mógł żyć spokojnie.

Ufając zapewne w czeskie poparcie, w łaskę i opiekę cesarską, Zbigniew powrócił do Polski nie jak ułaskawiony winowajca, ale jak księżę udzielny przy odgłosie trąb i okrzykach, na znak władzy miecz rozkazując nieść przed sobą, aby się Bolesławowi urągał.

# IX

Dziesięć lat upływało od śmierci króla Władysława Hermana, w ciągu których walka dwu braci z sobą nie ustawała.

Jesiennego dnia chmurnego na małym zamczysku w Szląsku, które

Grodziskiem zwano, stały wrota świeżo wyłamane, przy których widać było ślady rozpaczliwej a bezsilnej i próżnej obrony. Podwórze pełne było koni i ludzi, gwar głuchy dolatywał niekiedy z izb wewnętrznych. Kilku żołnierzy powiązanych sznurami jęczało, leżąc na podłodze w przedsieniu.

Zameczek lichy był i źle opatrzony, sam dworzec w nim do szopy podobny.

Kawał tylko muru przypierał do niego, a i w tym okna widać było bez błon, otworem stojące i ściany od słoty popsute.

W większej izbie, na dole, gromada tylko co przybyłej starszyny stała kupą, zdając się naradzać z sobą. Na czele jej był stary wojewoda Magnus, który znużony i ociężały wiekiem na ławie już przysiadł, podparł się na rękę i dyszał, a czoło mu się fałdowało troską i niepokojem. Inni dokoła stali, rozglądając się i gwarząc.

Żelisław Bezręki, Skarbimierz Jednooki, Wojśław, kilku innych wojewodów i starostów, urzędników króla i dowódców, pierwsze miejsca zajmowali.

— Na sumienie nasze wziąć potrzeba ukaranie winowajcy, a raz z nim

skończyć! Winien od dawna przyplacić głową. Król, a pan nasz, którego on tyle lat walki, tyle srogiego niepokoju kosztuje, i teraz jeszcze ukarać go nie będzie miał

serca. Naszą sprawą winien być sąd i kara.

Tak mówił powoli Skarbimierz.

— I ja z Wami głosuję — odezwał Żelisław — niech raz kraj wypocznie, niechaj się te zdrady ukróca. Śmierć! śmierć!

Wtem wojewoda stary zapytał:

— Cóż mówił król? Co mówił? Czyście go wyrozumieli?

Skarbimierz się zawahał.

— Nagliliśmy nań, aby koniec uczynił, chciałem słowa od niego, rzekł mi w ostatku: — Czyńcie, co uznacie słusznym, czyńcie, co potrzeba dla spokoju mojego i waszego, a nie pytajcie mnie i nie żądajcie ode mnie, abym na własną krew wyrok wydawał.

— Więc nam sądzić i wyrokować kazał — wtrącił starosta Boruta —

sądźmyż i wyrokujmy, jako Bóg przykazał.

— Bez sądu — zawołał inny z boku — bez wyroku, stokroć na śmierć

zasłużył. Najmniejszy człek w tym królestwie wie, co czynił na zagładę brata a króla. Groził i nasadzał, przysięgał pięćkroć i łamał przysięgi, z nieprzyjacioły się wiązał. Dopóki żyw, poty się nie odmieni, będzie tym, czym był — zdrajcą!

Magnus z ławy wtrącił:

— Śmierci winien, pewnie! A gdy mu ją zadać każemy, co powie pan? Co powie?

— Rad będzie, że wolen zostanie — rzekł inny.

— Nie znasz ty go — począł stary wojewoda. — Na polu bitwy krwi on ani swej, ani cudzej nie żałuje, ale brata zgładzić, choćby brat zdrajcą był jawnym, nie zechce. Lat dziesięć się to ciągnie. W rękę go miał, u nóg go trzymał, Sąd Boży skazał, on przebaczył. Gdy wyrok wydamy, znenawidzi nas zań! Boleć będzie.

— Niech boleje i odboli, byle raz bezpiecznym był — rzekł Skarbimierz cichym głosem. — Nie było końca i nie będzie znowom. Słał na nas, kogo mógł, płacił, prosił, prowadził, knowania nie ustawały nigdy. Mamy go w rękę, zabić plugawego przecherę, zabić!

— Ano, zabić! — powtórzyli inni.

Gdy się ten wyrok rozległ po pustej izbie, zdało się, jak by ci sami, co krwawe wyrzekli słowo, ulękli się go. Długo potem trwało milczenie. Stali z oczyma w podłogę wlepionymi. Na brata królewskiego, na królewskiego syna wyrok wydali.

— Zabić, no to zabić! — powtórzył po przestanku głosem śmiałym Boruta.

— Dawnoli temu, jak mu cesarz i król czeski wyprosili tę dzielnicę, aby na niej spokojnie paskudnego życia dokończył? Zdrajca, zamiast przybyć pokornym, paść do nóg Miłościwemu Panu, zajechał na dwór z wrzawą, gędźbą, lutniami, rogami, jak zwycięzca; zamiast przebłagać, stawił się zuchwale, a nazajutrz pochwycono mordercę, którego nasadził, aby króla nożem przebił.

— Tym nożem go w serce — zawołał Skarbimierz — tym! Niech żywot

ohydny skończy!

Magnus ręką czoło tarł i niemal jęcząc wołał:

— Co czynić? Co czynić? Potrzeba się go pozbyć, a nie chciałoby się na gniew pański narazić.

Boruta ramionami zżymnął.

— Nie żywić go! Na pniak i koniec.

— Nie chcecie mu życia brać — odezwał się jeden ze starszych — oczy mu kazać wyjąć i niech marnie dogorywa.

— Póki on żyć będzie, o, i bez oczów siać zdrady nie przestanie — przerwał

Skarbimierz. — Lepszym od niego wzrok odejmowano, temu by stryczek przystał.

— Krew to pańska — podszepnął ktoś z cicha. Zamilkli nieco.

Wtem na progu duchowny się ukazał w sukni zakonu benedyktynów.

Mężczyzna był lat średnich, ale żywotem ascetycznym przed czasem postarzały, blady, schudzony, wąły na pozór, choć wzrok jego i ruchy zdradzały tę siłę wewnętrzną ducha, która ciała daje potęgę mogącą się oprzeć największym męczarniom. Wśród tych ludzi wojny i oręża, ciałem dzielnych, rozrostłych, nawykłych do rozkazywania i walki, człowiek ten mały, pokorny, słaby, wydał się jakby istotą z innego świata. Wejrzenie jego miało w sobie coś jasnego, przenikającego, sięgającego do głębi i zmuszającego do poszanowania. Szedł

krokiem powolnym, trzymając w rękach pod szkaplerzem książeczkę, i zdawał się szukać kogoś, gdy przeciwko niemu wystąpił Skarbimierz i pochyliwszy się w ramię go pocałował. Mnich spojrział ku niemu ze smutnym półśmiechem, oczyma zadając mu pytanie.

— Ojcie Łukaszu — odezwał się Jednooki — prosiłem Was, abyście mi

towarzyszyli nie nadaremnie. To, com przewidywał, ziściło się, winowajcę wielkiego, osądzonego na śmierć, mamy w rękach. Człowiek to urodzenia znacznego, ale winien zdrady, mordu, przelewu krwi i wszelakich zbrodni. Godził

podstępnie na żywot pana naszego.

— Na śmierć zasłużył stokroć — szemrali otaczający.

— Raz z nim skończyć! — mówili drudzy.

— Życie dać powinien! Nie ma dlań przebaczenia! — rzekł Boruta.

— Nie chcemy, aby ginąć mając, nie przejednany z Bogiem, poszedł przed sąd Jego — dodał Skarbimierz. — Gdyby nawet wyrok łaskawszy wypadł i oczy tylko miał stracić, któż wie, czy potem wyżyje.

Ojciec Łukasz pilnie słuchał, wpatrując się w mówiącego.

— Nigdy z Bogiem przejednanie nie zaszkodzi — rzekł spokojnie. — Sąd i kara nie do mnie należą, co moim obowiązkiem, to spełnię.



Sklonił głowę i poruszył się, jak by bez dalszych rozpraw iść był gotów.

Magnus klasnął w szerokie dłonie. Wszedł natychmiast człek stary już, z krótko postrzyżonym włosiem, w grubej odzieży, z drągami żelaznym w ręku i nożem za pasem. Twarz miał okrągłą, poczwarnie brzydką, z wyrazem bydlęcym i osowiałym. Stanąwszy w progu, patrzył spod brwi nawistłych, oczekując rozkazania. Wojewoda Magnus odezwał się doń, aby księdza, który już ku progowi szedł, do więźnia prowadził. Sam, jak by go tych kilka słów zmęczyło, padł na ławę westchnąwszy, podparł się na dłoniach i zadumał. Ciężył mu wyrok wydany.

Stojący szeptali pomiędzy sobą i naradzali się jeszcze, a Boruta głośniejsz od wszystkich co chwila po słowie wtrącał:

— Nie żywić go! Gdyby nie on, ja bym syna miał! Gdyby nie on, Żegota by miał ojca! Gdyby nie on, tysiące by ludzi nie poginęło! Zdrajca, dziesięćkroć niech ginie!

Gdy duchowny wychodził, przeprowadzany przez Skarbimierza, rozprawy hałaśliwe na nowo się rozpoczęły.

Stróż prowadził księdza milcząc z sieni ku drzwiom wiodącym do

murowanej części zamczyska. Otworzył je z wysiłkiem, podnosząc drąg, którym były zaparte, i wpuściwszy duchownego, zaryglował je ze środka. Przeszli izbę pustą, ostawioną ławami dokoła, drugie drzwi odemknął do mniejszej komory, do której w dół nieco zstępować było potrzeba. Na ostatek jeszcze jedne drzwi rozwarł

powoli i wpuścił przychodnia do na pół ciemnej izby, której okno, kratą obwarowane, wysoko w ścianie było wybite. Tu, na mizernym posłaniu, wyszarzaną skórą pokrytym, leżał więzień. Usłyszawszy szelest, podniósł się nieco i przypatrywać się zaczął zbliżającemu się powoli.

Zbigniew to był, lecz lat tych ostatkiem zmieniony straszliwie, do

niepoznania prawie. Twarz mu nabrzękłą porały gniewy, żółć zjadła skórę, występując na nią plamami ciemnymi; ciało nieforemnie się rozlało, oczy złe patrzyły jak ślepia zwierzęcia, co ma się rzucić na pastwę. W rysach zgniecionych namiętnościami zniekanie, męczarnie gniewów bezsilnych wypiętnowały się zwierzęcą niemal bezmyślnością i rozpaczą. Po sukni poznawszy mnicha, Zbigniew począł się w niego wpatrywać coraz baczniej, drgnął, podniósł się z łoża, przystąpił i krzyknął ręce łamiąc:

— Łukasz!!

Dawny towarzysz z saskiego klasztoru poznał już był wprzód

nieszczęśliwego księcia, ale stał nieporuszony, spokojny, oczyma wlepionymi weń badając okropną zmianę w tym, którego znał niegdyś tak jeszcze życia pełnym.

— Jam jest — rzekł cicho — nie mylicie się, jam jest. Słowa te wyrzeczone zimno, z wielkim ducha spokojem, zabrzmiały dziwnie w uszach Zbigniewa, który pomyślawszy krótko, powrócił na łożo i

rzucił się na nie mruczący. Przypomniął

sobie lata dawne, pomyślał pewnie, że po nim nic się spodziewać nie może.

— Czegożeś tu przyszedł? — odezwał się książę. — Kto cię przysłał? Co mi przynosisz?

— Przychodzę, niosąc ci pociechę — odparł ojciec Łukasz — przychodzę cię pojednać z Bogiem!

— Co to ma znaczyć? — zawołał książę. — Mów mi jasno.

Ojciec Łukasz zawahał się.

— Spowiedź nigdy duszy nie szkodzi, ulgę przyniesie — rzekł powoli, unikając wyraźniejszej odpowiedzi.

— Ha! Śmierć mi gotują bolesławowskie katy! — krzyknął Zbigniew.

— Nie wiem — szepnął cicho ojciec Łukasz.

— Ja to wiem i bez ciebie — ponuro począł książę — wiem! Tak, śmierć mi gotują! Dostałem się w ich ręce! Czemu nie ubili mnie dawniej? Ten sam Magnus!

Służyłem mu za narzędzie, naówczas mi się kłaniał. Dziś ja zawadą Bolesławowi i im. Pierworodny syn królewski!

Uderzył się ręką w piersi.

— Młodszy powinien mi być ustąpić i zginąć, a ja panować! Ja! Winien jestem, że tego samego chciałem, co on? W nim to cnotą, a we mnie zbrodnią!?

Mówił, rzucając się przerywanym głosem, jak w gorączce, ksiądz słuchał, wpatrując się w niego bacznie, z wyrazem niewysłowionego smutku, żalości i politowania.

— Zwróć myśl ku Bogu — szepnął cicho.

Głową strząsnął tylko Zbigniew, myśl jego od ziemi się oderwać nie mogła.

Mówił sam do siebie:

— Śmierć? Śmierć? Za co? Bom szczęścia nie miał, słyszysz, Łukasz!

Śmierć!!

Dziki śmiech wyrwał mu się z ust, wyciągnął pięść dużą, obrzękłą, do góry i uderzył nią w łoże.

— Szczęściam nie miał! Szatany, psy, podli i nikczemni, bestie zjadliwe, gadziny jadowite mają szczęście i chodzą w koronach, ja go nie miałem i głowę dam! Słyszysz, Łukasz!?

Książd milczał ciągle.

— O duszy myślcie — odezwał się łagodnie.

Wyrazów tych więzień nie słyszał lub nie zrozumiał, powtarzał łajania i przekleństwa.

— Spróbujcie modlić się ze mną... pokój spłynie na duszę — rzekł o.

Łukasz i nie czekając odpowiedzi począł:

— „Boże wielkiego miłosierdzia, miej litość nad grzeszną duszą moją...”

Zbigniew, zamiast powtarzać modlitwę, zawołał gwałtownie:

— Dziś? Czy dziś jeszcze chcą mnie zadławić te zbóje?

— Ojciec Łukasz ramionami poruszył.

— Błagam Was — odezwał się — o duszy swej myślcie. Ja nie wiem nic, prócz że przyszedł ze słowem Bożym do duszy Waszej.

Zbigniew milczał, duchowny, korzystając z pozornego uspokojenia, ciągnął

dalej, wpatrując się w nieszczęśliwego.

— Mówmy modlitwy!

Jak by nie zrozumiał, Zbigniew się zerwał z łoża szybko, jakąś myślą pchnięty, i przystąpił do ojca Łukasza.

— Nosiliśmy suknię jedną — odezwał się — pomnicie? Znam serce Wasze litościwe... Ratujcie mnie! Ratujcie!

— Ratować też przybyłem — odrzekł ojciec Łukasz — o ile w mocy mej

jest. Ratunek duszny niosę Wam.

Zmarszczył się książę i nogą uderzył w podłogę.

— Ratuj mi życie! Rozumiesz! — zawołał. — Nie dopuść gwałtu!

Wstrzymaj tych katów, królowi daj znać. Bolesław mi życie daruje.

To mówiąc dłoń położył na ramieniu księdza, który drgnął od tego

dotknięcia i cofnął się nieco.

— Uspokójcie się, posłuchajcie mnie — rzekł. — Gdybym mógł, ja, biedny mnich, poszedłbym

pieszo prosić za Wami. Uczynię, co w mej mocy. Nie przetoż powinniście duszę oczyścić!? Módlmy się razem.

Wezwania tego Zbigniew ani chciał słuchać, odszedł ku łożu niespokojny, rzucił się na nie, zerwał, przebiegł ciasną izbę, bijąc o ściany jak oślepy.

Ojciec Łukasz oczyma gonił go i powtarzał na próżno:

— Módlmy się!

— Modlić się? — odparł wreszcie oszalały. — Modlić się? Ja klnąc tylko mogę i narzekać! Ja nie mogę się modlić.

Zmęczony miotaniem się książkę przywłókł się do łoża i obalił na nie twarzą do góry. Jęczał dziko, nie mogąc słowa przemówić. Litość poruszyła ojca Łukasza, który wstał z wolna i ku niemu się zbliżył. Stał nad łożem, ujął rękę jego ostrożnie.

— Litujcie się nad sobą! — rzekł. — Co pomoże rozpacz taka, którą szatani duszę przeciw Bogu buntują! Ukorzcie się, żałujcie grzechów, myślcie o niebie.

Zbigniew głową potrząsł.

— Po to mnie wypuścili z klasztoru — krzyknął — jak dzikiego zwierza z klatki, aby mnie szczuli psami i bawili się męczarnią moją. O, czemum, czemum nie pozostał z Wami!!

— A nie samiżecie chcieli w ten świat zwodniczy — odparł ojciec Łukasz

— nie pragnęliścież władzy, panowania, siły?

Zbigniew nie odpowiedział, podniósł głowę tylko i począł zniżając głos:

— Ocal mi życie! Wiesz! Mam jeszcze zakopane skarby, oddam je zakonowi wszystkie. Wdzięję suknię waszą, wyrzeknę się świata. Benedyktyni wezmą dzielnicę moją, wszystko dam na kościoły! Ocal mi życie!

Porwał księdza za rękę i gwałtownie całować ją zaczął.

— Ocal mi życie! Życie mi zachowaj, bracie Łukasz!

Kapłan odsunął się był nieco, Zbigniew, nie słysząc odpowiedzi, z łoża wstał, ukląkł przed nim i za nogi go ścisnął, coraz goręcej wołając: — Ocal mi życie!

— O, bracie mój, bracie mój — rzekł na ostatku benedyktyn — gdybyście tak się troskali, tak gorąco pragnęli żywota wiecznego, jak doczesnego pragniecie!

Odpowiedź ta jak zimną wodą oblała księcia, który się porwał i krzyknął z gniewem:

— Klechę przebrzydłym byłeś i będziesz!

Ojciec Łukasz stał niewzruszony, najmniejszy wyraz gniewu nie zmienił mu twarzy pogodnej i litością tchnącej.

Wśród więziennego milczenia słyhać było tylko oddech i sapanie

zburzonego rozpaczą i gniewem księcia. Ojciec Łukasz siadł na ławeczce i począł

odmawiać modlitwę:

— Ojcze miłosierdzia...

—Dajże mi pokój z tą modlitwą! — zaryczał głos z łoża. — Przysłali cię, abys mnie spowiadał? Powiedz im, że przygotować mnie potrzeba. Zyskam na czasie. Nie wypowiadanego mnie nie zgładzą!!! Dosyć tego! — Ojciec Łukasz spojrział nań i zamilkł.

— Kto tam jest oprócz Magnusa? — zapytał nagle Zbigniew.

— Nie znam nikogo oprócz palatyna Skarbimierza — rzekł ksiądz.

— Najzjadlejszego z wrogów moich! — krzyknął Zbigniew porywając się.

— Tego jednego dosyć, aby mi przyniósł śmierć!

— Módlmy się — powtórzył duchowny.

Zbigniew wstał i nie zważając nań chodzić począł, przystąpił do drzwi, uchwycił za nie, potrząsnął nimi, zawarte były.

Stróż, usłyszawszy szelest, rozwarł je na pół, a zobaczywszy więźnia, gwałtownie zatrzęsął.

— Módlmy się! — błagająco mówił ojciec Łukasz.

— Milcz, klecho! — rzekł stając naprzeciw niego Zbigniew i podnosząc pięści ściśnione. — Milcz! Powiedz im, zem wściekły, że spowiedzi słyhać mnie nie mogłeś. Mają prawo wziąć mi życie, ale nie gubić duszę.

Pochylił się ku niemu.

— Daj znać królowi! Wszystkie skarby moje benedyktynom przekażę,

oddam. Suknię waszą oblekę...

— Uczynię, co mogę — odezwał się ksiądz z politowaniem — lecz dla siebie samego, na błaganie moje pomódlcie się, to Wam ulgę przyniesie.

Zbigniew głową rzucił. Co innego miał na myśli.

— Bolesławowe molosy, psy na mnie zażarte! — począł znowu, zgrzytając zębami. — Krwi się mojej chcą napić, ciałem napaść! Czekali na to długo! Wilki wściekle!

Obu rękami pochwycił za głowę na pół wyłysiałą, około której włos spadał w nieładzie.

— Módlmy się — jeszcze raz szepnął duchowny. Rzucił się Zbigniew.

— Mówiłem! — krzyknął. — Ani się modlić, ani spowiadać nie mogę, nie chcę, nie będę. Nie będą śmieli zadać mi śmierci w stanie grzechu! Dlatego, zdrajcy, Was tu nasłali, z Waszą kleszą pokorą i błaganiem, abyście mnie przygotowali im na pożarcie. Macie jak kucharz przyprawić im pastwę! Nic z tego!

Nie! nie!

Wołał coraz gwałtowniej.

Ksiądz Łukasz ze złożonymi rękami przykląkł przed zrozpaczonym. .

— Na dawne nasze w Jezusie Chrystusie braterstwo zaklinam Was! —

zawołał. — Módlmy się! Uspokójcie się, prosić będę za Wami! Czas upływa!

— Chcę, by upływał! — wybuchnął Zbigniew. — Niech uchodzi!!

Odsunął się od klęczącego i poszedł na łoże, wyciągnął na skórze, głowę zakrył, milczał, dysząc ciężko.

Po kilkakroć chcąc go jeszcze przywieść do opamiętania, ksiądz przystąpił i ręką potrzęsnał. Leżący wyrywał mu się gwałtownie. Nagle, jak by doprowadzony do niecierpliwości, ksiądz zerwał się z posłania, chwycił ojca Łukasza za barki i popchnął go ku drzwiom, w które obu pięściami bić zaczął. Stróż otworzył, Zbigniew nie dając ani przemówić, ni się odwrócić księdzu, wyrzucił go za próg.

Chwilę stał jeszcze u drzwi kapłan z głową spuszczoną i wolnym krokiem powrócił

do izby, w której wojewodowie zgromadzeni byli. Mrok nie dozwalał już rozeznąć ich twarzy, siedzieli na ławach pod ścianami oczekując i rozmawiali cicho między sobą. Spór i hałaśliwe rozprawy ustały.

Gdy ksiądz ukazał się w progu, Magnus podniósł się pierwszy i postępując ku niemu, spytał:

— Spowiadał się?

— Miłościwi Panowie — odezwał się poważnie kapłan — to człowiek w

rozpaczy, nie władający sobą. Ani się spowiadać, ani słuchać, ni zrozumieć nie może. Szalony jest! Nieszczęśliwy! Litość nad nim mieć potrzeba! Starszyzna spojrzała po sobie.

— Ojciec Wielebny — rzekł Skarbimierz — wszelką litość wyczerpał ten człowiek. Chcemy czynić, cokolwiek można, dla duszy jego. Pozostańcie, proszę, opamięta się może i zażąda Was.

Zaczęli między sobą szeptać wojewodowie. Po chwili Magnus, Skarbimierz i Zelisław wyszli z izby. Wszyscy trzej razem skierowali się milczący do więzienia.

Gdy ostatnie drzwi otworzył im stróż, Zbigniew leżący na posłaniu podniósł

głowę, popatrzył, zerwał się na nogi, zataczając i oczyma błędnymi wodząc po nich. Wybuchnął:

— Ha! Przyszliście, zbójcy, po życie moje? Króla waszego krew przelać chcecie!

— Nie — przerwał głosem ogromnym, nakazującym milczenie Magnus. —

Przyszliśmy po głowę zdrajcy! Zdrajcy nie trzykrotnego, bo trzykroć i czterokroć był przebaczone, ale niepoprawnego zdrajcy, co na życie króla, pana naszego, nastawał, który nań nasyłał morderców, któremu zapomniano jego niegodziwości, a poprawić się nie chciał. Król by Wam raz jeszcze przebaczył, ziemie nasze i ziemianie nie mogą.

— Wy! Mnie! Przebaczać!? — zerwał się gwałtownie Zbigniew. — Wy

mnie!? Katy i niewolniki! Jam wasz pan prawy! Ja, nie kto inny! Tamten, co się waszym królem nazywa, zasłużył na karę, bo mi wydarł prawo pierworodztwa, królestwo moje! On jest złodziejem, nie ja zdrajcą! Słyszycie!

I zaśmiawszy się padł na posłanie.

— Milczcie! — zawołał Skarbimierz.

— Nie mówić, nie wołać, ale krzyżeć i wrzeszczeć, i ryczeć będę! — odparł

Zbigniew, pięści wznosząc. — Niech słyszy cały świat, co za zbrodnia się tu dzieje! Ja jestem panem waszym!! Ja!

— Milczeć! — powtórzył Jednooki, nogą bijąc o ziemię.

Magnus przystąpił o krok bliżej.

— Gdy Wam łaska ojcowska a miłosierdzie ojca Marcina do królestwa tego przypuszczenie wyjednało, jakżeście się za to wywdzięczyli? Król na marach leżał

nie pogrzebiony, gdyście bunt podnieśli! Co później? Wszystkie wrogi nasze pędziliście na nas, nasyłaliście pogan, zbójców, prowadziliście nieprzyjaciół na brata!! Kto Czechów, kto cesarza, kto Pomorców i Prusaków na nas burzył?

— Tak! Ani się zapieram — przerwał podnosząc się Zbigniew — tak!

Odarty, wyzuty, krzywdzony, upominałem się o swoje! Szukałem opieki u obcych, gdy u swoich nie znalazłem! Tak! Ząb za ząb, zdradzony, mściłem się zdradą.

Wojewodowie spojrzeli po sobie, nikt nie odpowiadał. Magnus począł z wolna, jak by wyrok głosił:

— Nie wołaj królewską, ale sądem wszystkich ziemian, wojewodów,

starszyny, władyków, osądzeni jesteście!

— Ja? Przez was? — wykrzyknął nie dając dokończyć Zbigniew. —

Alboście to wy mnie równi, byście śmieli mnie sądzić? Papież tylko, cesarz, królowie sądzić mnie i potępiać mają prawo, nie wy, czerń, ludzie z gminu wyszli.

Spojrzeli po sobie trzej sędziowie.

— Będziecie się na to skarżyć przed trybunałem Bożym, przed którym i my staniemy — wtrącił Skarbimierz pogardliwie. — Na sumieniu mieć Was nie będziemy. Nie jednej, ale dziesięciu śmierci winniście! Więcej przeleliście krwi wiader, niż z Was kropel wytoczyć można.

Zbigniew klął i bełkotał, podniósł się nagle, widząc Magnusa cofającego się ku drzwiom.

— Wojewodo — zmienionym głosem począł — wojewodo! Bóg nas będzie

sądził! Niech tu przyjdzie ksiądz, niech przyniosą Ewangelię, krzyż, hostię, przysięgnę na nich przy was!. Nie chcę nic! Życie mi zostawcie! Oblekę znowu habit zakonny! Pójdę na wieki do klasztoru!

— Złamaliście wiele takich przysiąg uroczystych — rzekł Skarbimierz.

— Tej dotrzymam! — zawołał Zbigniew.

Była chwila strasznego milczenia.

— Życia Wam nie wezmą — odezwał się Magnus. Księżę poruszył się, odetchnął, powstał.

— Więzienie? — odezwał się głosem orzeźwionym. Nikt nie odpowiedział.

— Poddajcie się losowi Waszemu — dodał Magnus — jaki wyrok wydano, spełnić się musi.

Rzucił się księżę za nimi, gdy już wyszli pospiesznie i drzwi zatrzaśnięto.

Cicho było i ciemno. Więzień odetchnął, pot ocierając z czoła.



W przedsięniu izby, u progu kroki i głosy ludzi słyszeć się dały. Trwoga ogarnęła go znowu. Spod skóry, którą łoże było okryte, Zbigniew dobył nóż wsunięty głęboko i schował go w rękaw sukni.

U drzwi szmer i szelest jakiś się powiększał, szeptano i umawiano się.

Słysząc było niewyraźne, przerywane, dziwne głosy i śmiechy dzikie. W więzieniu panowała ciemność, przez szparę drzwi jak ostrze jakiegoś miecza ognistego wpadło światło, zadrzało na podłodze, pasem nad głową jego zarysowało się na ścianie.

Zbigniew skulony na łożu, cisnąc nóż w rękę spotniałym, drżał i zęby mu się ścinały. Okiem obłąkanym powiódł ku oknu, które wysoko stało nad głową, niedosiężone dla niego. Rękami objął mur gładki i oszarpnięte dłonie opadły.

Obejrzał się dokoła, nie było ratunku, kryjówki, ujścia. Drżenie zmieniło się w dygotanie całego ciała, głowa się trzęsła, nogi chwiały; palce to ścisnęły gwałtownie, to bezsilnie rozchodziły, pot zimny spływał po skroniach.

Za drzwiami ciągle jeszcze mruczenie trwało, spór stłumionych kilku głosów. Światło przez szparę wpadające przesuwano się i chodziło po izbie, podnosiło do góry i spadało. Po kilkakroć słysząc było rękę, która chwyciła zasuwę drzwi i zsunęła się z niej z wolna. Spierano się jeszcze, to głośniejsze, to ciszej.

Oczekiwanie jak wiek trwało długo. Już Zbigniew uspokajając się nieco zaczynał, gdy nagle, gwałtownie zasuwę drzwi opadły z trzaskiem i stróżów z niskim czołem, z twarzą bydlęcą wpadł wiodąc za sobą dwu pacholków i wylęknętego chłopaka, który pochodnię trzymał w ręku.

Oprawca ani słowa nie odezwał się do księcia. Skinawszy na pomocników, postąpił ku niemu. Na Zbigniewa, stojącego u łoża, pacholki z obu stron rzucili się chwytając za barki, lecz nim za ręce go ujęli, dobył nóż i rozpaczliwie nim miotając, zadał naprzód lekkich razów kilka stojącemu bliżej oprawcy. Zmierzył

potem ku piersi tego, który z żelazem ostrym także zabierał się silną dłonią za kark go pochwycić.

Walka poczęła się straszna, nierówna, zajadła, nieludzka, bydlęcego coś w sobie mająca. Zbigniew bronił się jak zwierzę pochwycony w jamie, kłując, bijąc, miotając całym sobą. Pacholki ręce mu łamali, chwytając za nie, dusili piersi, mordowali za gardło, cisnąc i usiłując skrępować. Jeden z nich sznurem go już oplątywał, ale ręka mu się trzęsła z pośpiechu, a krew lała po twarzy. Chłopię stojące z pochodnią to oczy zakrywało ze strachu, to wytrzymać nie mogąc, odsłaniało je, aby zobaczyć, co się działo, i krzyczało a jęczało.

Trzech tych ludzi zwinęło się jakby w kłęb jeden, w jeden kadłub

nieforemny, którego rąk i nóg poplątanych rozeznąć nie było można. Jeden wreszcie piersi mu nacisnął kolaniem, drugi broniące się jeszcze dłonie sznurem krępował.

Oprawca z rękami obnażonymi stał oczekując przed nimi. Żelazo, które trzymał w ręku, mówiło, co miał począć. Spiczaste ostrze jego niejedne już oczy, co na świat patrzyły, wyjęło spod powiek.

Oprawca powoli próbował je na paznogi. Nawykły był do tego rzucania się i rozpaczliwej obrony, ale tym razem ręce mu drżały, opór zaczynał go drażnić i burzyć, zbyt się przeciągał długo.

Przystąpił nagle do księcia, chwycił miotającą się jeszcze konwulsyjnie rękę jego i pochylił się, aby rozpocząć wykonanie wyroku.

Lecz nim kat żelazem dosięgł oka, wysiłkiem gwałtownym Zbigniew

rozerwał krępujące go pęta, odepchnął pachołków od siebie i nożem, którego mu wyrwać nie zdołano, w piersi uderzył oprawcę. Raz ten, choć silny, ledwie przebił

grubą suknię jego. Nie syknął nawet, lecz rozwścieczony, zamiast do oczów, zmierzył w piersi Zbigniewa i żelazo w nich utopił. Uderzenie gwałtowne dosięgło serca, książę konając rzucił się tylko, ręką chwycił za piersi i drgając opadł na posłanie. Wbite żelazo tkwiło w ranie i krew się około niego sączyła.

Pachołkowie powstawali z ziemi, pot i krew ocierając ze skroni.

Kat patrzył obojętnie na ofiarę, nie rzekł słowa, potrząsał głową, zbliżył się, z wolna ostrze zaczął z piersi wydobywać, otarł je o połę sukmany i zawiesił u pasa.

Na twarzy jego nie znać było najmniejszego wzruszenia, pot kroplami tylko występował mu na czoło. Skinął na posługaczów. Ci zbliżyli się do stygnącego trupa. Wiedzieli już, co czynić mieli. Wyciągnęli skurczone członki na posłaniu, ręce złożyli na piersi krwawej, zamknęli otwarte powieki, przytrzymując je chwilę palcami, opadłą szczękę jeden z nich podwiązał powrozem. Spojrzeli na trupa.

Wszystko było skończone, jak należało.

Chłopak, który pochodnię trzymał, tuląc się do ściany, drżał ze strachu, płakał i przez palce na zabitego spoglądał.

Ciągle milcząc oprawca poszedł ku drzwiom. Na sukmanie jego widać było teraz sączącą się krew z lekkiej rany, którą książę mu zadał, ale nie czuł jej ni spojrzał na nią. Chłopak z pochodnią i pachołkowie, szepcząc między sobą, opatrując ręce swe poranione, ocierając się i wyciągając, szli za nim. Drzwi więzienia, w którym trup został, nie zamknięto. Mrok ogarnął izbę.

Oprawca z wolna skierował się ku wielkiej jadalni, w której wojewodowie na ławach siedzieli. Ujrawszy go powracającego wcześniej, niż się spodziewano, idącego z wolna i zakłopotanego, Magnus wstał i wyszedł niespokojny przeciw niemu.

— Już? — zapytał.

Długo się zbierał na odpowiedź straszny człek, trąc głowę i patrząc na ziemię.

— Nożem się bronił — rzekł — nie można było dostąpić do oczów...

Ręki ruchem pokazał, że przebić go musiał. Wojewoda drgnął i nie mówiąc słowa, zwrócił się ku swym towarzyszom.

— Bronił się — rzekł — musiał go zabić.

— Ranił mnie — dodał oprawca, szukając na sukni śladu uderzenia i wskazując krew.

— Stało się! — zawołał Skarbimierz. — Bóg tak chciał. Dobrze się stało.

Gdy to mówił, ruszyli się wszyscy, jak by na oczy swe widzieć i przekonać się chcieli, że królestwo od wroga, który je trapił przez lat tyle, wolnym było.

Szli wszyscy poprzedzani przez pochodnie, które niesiono przed nimi; w izbie nie został nikt, cisnęli się w ponurym milczeniu.

Pierwszy Magnus przestąpił próg i spojrział. Ciało leżało na łożu, jak je pachołkowie złożyli, ze sznurem pod szczęką, z twarzą straszną jeszcze, na której stężał wyraz walki ostatniej. Zastygły w rysach nieszczęśliwego gniew i wściekłość, usta miał pianą ze krwią okryte, sinieć zaczynało nabrzmiące lice.

Wojewodowie otoczyli łoże i patrzali, nie okazując żalu, nie mówiąc słowa, nie litując się losowi człowieka.

— Tak lepiej — szepnął wychodząc Skarbimierz — sam sobie zgon

przyspieszył. Nikt nie winien śmierci jego. Pospieszę do króla, aby mu oznajmić o tym.

Wracali już, gdy w sieniach spotkał ich stojący, czekający na nich ojciec Łukasz, Ciekawymi oczyma badał przybywających.

— Ojczy mój — odezwał się do niego wojewoda — oddajcie mu ostatnią posługę chrześcijańską. Nie żyje.

Ksiądz westchnął, nie mówiąc nic, posunął się z twarzą smutną ku izbie więziennej i całą noc modlił się u ciała ze spokojem człowieka, dla którego widok śmierci nic już strasznego i groźnego nie ma.

Nazajutrz pogrzeb cichy, w prostej trumnie zakończył ową długą tragedię krwawą braterskiej walki. Zwłoki królewskiego syna złożono w małym sklepiku pod kościołem, a zaledwie lat kilka ubiegło, zapomniano nawet o grobie, którego żadną pamiątkową cechą nie oznaczono.

Gdy Skarbimierz do Krakowa powrócił, jak by przeczuwając coś, król go natychmiast do siebie powołać rozkazał.

Wyszedł naprzeciwko niego ze trwogą na twarzy. Spojrzenie na nią kazało wojewodzie poszanować

ten niepokój serca szlachetnego, które tyle przebaczyć umiało, a do zemsty tak nieskorym było.

Król stał, pytać nie śmiejąc, Skarbimierz odezwać się nie miał odwagi.

Milczenie samo wymowne było.

— Zbigniew? — jęknął wreszcie.

— Nie żyje! — rzekł, nie ciągnąc już dłużej wojewoda. — Chciano mu oczy wyjąć tylko, ranił oprawcę i sam się przebił na żelazie, które trzymał.

Słyszając to król pobladł jak chusta, pochwycił się za głowę i uszedł szybko.

Nie widziano go już tego wieczora, nie usiadł do wieczornego stołu, mówiono, że całą noc spędził w zamkowym kościele na modlitwie.

Nazajutrz przybywający panowie znaleźli go w szatach podartych, z głową popiołem posypaną, boso, bladego, załamującego ręce, rozgorączkowanego, we łzach. Na próżno starali się go pocieszyć. Skazał się na post, na chleb i wodę, wdział od tego dnia prostą opończę szarą, skrył się od tłumu, unikał ludzi, zmienił

straszenie.

Strwożona królowa posłała po panów, panowie pobiegli po biskupa

Baldwina, do duchownych, wzywając ratunku. Obawiano się stracić pana tego, na którego barkach spoczywało bezpieczeństwo królestwa, lękano się, aby dla dobrowolnej pokuty nie wyrzekł się panowania i małoletnim dzieciom a opiekunom niepewnym państwa nie zwierzył.

Biskup Baldwin zaledwie potrafił uspokoić nieco srodze sobie tę śmierć braterską wyrzucającego króla. Duchowieństwo całe ofiarowało się ze skarbnicy ogólnej łask, którymi Kościół rozporządzał, przyczynić się do ulżenia sumieniowi strwożonego pana. Nie ograniczając się na tym, pobożny król całe dni prawie w kościołach przebywał, klęcząc lub krzyżem leżąc w czasie mszy, które się za zmarłych odmawiały, śpiewania psalterza i modlitw. Codziennie tłumy ubogich sam karmił i przyodziewał; na koniec, pod pozorem podróży dla widzenia się z królem węgierskim, udał się Bolesław na wędrowkę do kościoła świętego Idziego, patrona swego, na Węgrzech, na którego cześć kościół też w Krakowie, przez ojca rozpoczęty, dokończył.

Świadek naoczny tej pielgrzymki króla, który był pierwszym rycerzem swojego wieku i najgorliwszym wyznawcą wiary, opisuje ten pochód pokutny Bolesława, jakiemu podobne w owych wiekach tylko widywano.

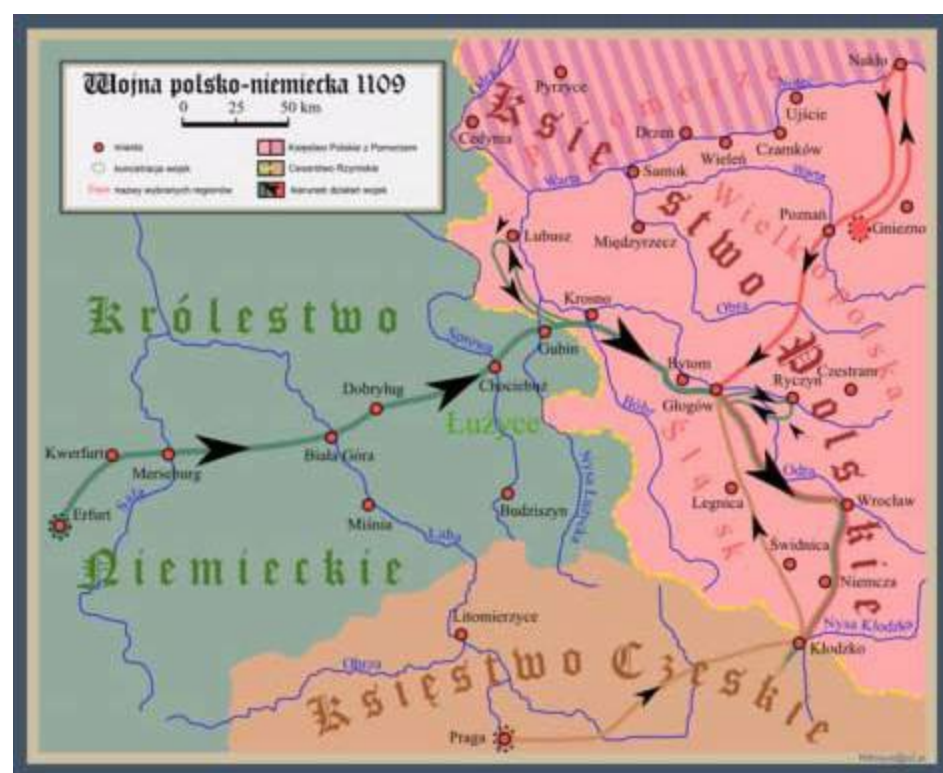
Było to w wielkim poście, w porze przedwiosennej, najprzykrzejszej w naszym klimacie. Król przez cały ciąg tych dni czterdziestu żył tylko chlebem suchym i wodą. Biskupi i prałaci zmuszali go na próżno, aby tak ostry post na modlitwy lub msze zamienił. Codziennie z rana wychodził z biskupami i kapelanami, prawie zawsze boso, przez cały dzień idąc, póki godzin do Panny Marii, pacierzy kapłańskich, siedmiu psalmów pokutnych, litanij, psalterza całego i wigilij za umarłych nie

odśpiewano.

W ciągu drogi, na noclegach, nogi umywał ubogim, rozdawał szaty, karmił

ich, sypał jałmużny, obdarzał, kogo tylko spotkał.

Wieść o tej pielgrzymce pobożnej poprzedzała go. Wychodzili więc na spotkanie biskupi, opaci, zakony, nareszcie i sam król węgierski Koloman. Każdy kościół otrzymywał ofiarę, w niektórych złoto i bławaty, sprzęty kościelne kosztowne na pamiątkę zostawiał. Duchowieństwo obdarzał obficie, po królewsku.



Przystawowie Kolomana pilnowali tego, aby go wszędzie ze czcią i poszanowaniem należytym przyjmowano.

Pielgrzymkę tę odbywszy, wrócił król do Krakowa, ale i tu jeszcze

pielgrzymich sukni i kapicy nie zrzucił, aż dopóki nie pokłękł u grobu Wojciecha świętego w Gnieźnie. I do tego miejsca jeszcze szedł pieszo i boso, i tu posypały się dary pańskie. Sprawiono naówczas na relikwie apostoła Prus, patrona Polski, trumienkę złotą, osiemdziesiąt grzywien wazącą, drogimi kamieniami sadzoną.

Biskup, duchowieństwo, kościoły obficie zostały obdarzone.

„Jednakże — pisze Gallus — pomimo pielgrzymki pobożnej, tak

świętobliwie odbytej, dawny ucisk serca nie ustąpił mu nigdy z pamięci.”

**KONIEC**